

Szafiry dla narzeczonej

Molly

Ruth Langan

PROLOG

Londyn, Anglia, 1750 rok

- Katherine. - William Colton przystanął w drzwiach sali reprezentacyjnej rezydencji Mansfieldów, popatrując na ustawionych w szyku gości. A było ich tam niemało, w tym członkowie jego rodziny.

- Williamie. - Katherine Mansfield, widząc swojego dumnego, przystojnego narzeczonego, podała swój kryształowy kielich pokojówce i z całym dostojeństwem przeszła przez salę.

Wiedziała, że prezentuje się doskonale. Pomruki aprobaty, które słyszała, sunąc pomiędzy gośćmi, tylko to potwierdzały. Zapracowała na nie wraz ze swą matką. Wybór stosownej sukni zajął im niezliczone godziny. Dwie służące o zręcznych dłoniach zadbały o uczesanie panny młodej, upinając z loków twarzowe gniazda na czubku głowy, tak by podkreślić jej wyjątkową urodę.

Zatrzymała się tuż przed Williamem, podając mu do ucałowania dłoń. Była pewna, że jest obiektem zazdrości wszystkich zebranych tam kobiet. Zazdrości w pełni uzasadnionej. William był pierworodnym synem lorda Redbridge, a poza tym czarującym, aroganckim łajdakiem, który rozkochał w sobie najlepsze partie w Londynie.

William pocałował jej palce i przytrzymał dłoń.

- Miałem nadzieję, że będziemy sami.

- A czemuż to, mój niegrzeczny panie? - Jej usta rozciągnęły się w uśmiechu. - Od jutra będziesz mnie miał tylko dla siebie, kiedy złożymy małżeńskie przysięgi. Nasze rodziny, moja i twoja, chciały dzielić naszą radość i świętować z nami. W końcu nie każda kobieta dostępuje zaszczytu poślubienia lordowskiego syna.

Położyła mu dłoń na piersi, a wyglądało to, jakby kładła ją na jego sercu. W rzeczywistości Katherine wyczuła palcami delikatne wypukłości w jego

kieszonce, w której ukryte były słynne szafiry Coltonów. Jej serce zabiło mocniej.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie pokażę się w nich światu, Williamie.

Naszyjnik z szafirów był wszystkim, co William miał ofiarować Katherine. No, może jeszcze tytuł, tak ogromnie ceniony przez Mansfieldów. Ród ów, choć bogaty ponad miarę, pochodził z ludu. Dlatego w kręgu ich przyjaciół szlachecki tytuł stanowił bezcenną wartość. Obie rodziny, Williama i Katherine, powinny zatem skorzystać na ich związku. Coltonowie rozpaczliwie potrzebowali dopływu złota, a tak się szczęśliwie złożyło, że ojciec Katherine był bardzo hojny dla córki.

Obserwując rodziców i gości, William lekko się zirytował. Zaplanował to zupełnie inaczej. Chciał, aby w wigilię ich ślubu nikt nie przeszkadzał im w czułym, intymnym spotkaniu, podczas którego zamierzał podarować narzeczonej szafiry.

Pod wpływem nagłego impulsu chwycił Katherine za rękę i pociągnął przez salę, z każdym krokiem słysząc szeptane spekulacje na temat drogocennych kamieni.

Wyszli na balkon, William zasunął ciężkie kotary. Katherine wydeła usta.

- Tak bardzo pragnęłam, żeby wszyscy widzieli, jak mi ofiarowujesz klejnoty.

- Sama powiedziałaś, kochanie, że będą mieli okazję podziwiać je przez całe życie. A ten jedyny w swoim rodzaju moment jest tylko dla nas - rzekł William, starając się stworzyć świąteczny nastrój.

Oboje świadomie łączyli swe losy bez miłości, ale przynajmniej nie wzbudzali w sobie nawzajem odrazy. Szanowali się i, jak ufał William, ich przyjaźń miała szansę z czasem przerodzić się w coś więcej. Wychowano go w przekonaniu, że najważniejsze w życiu wartości to rodzina i ojczyzna. I jak dotąd nie przyszło mu do głowy, by choć raz je zakwestionować.

Poprowadził Katherine ku balustradzie balkonu i uniósł jej twarz ku zalanemu księżycowym światłem niebu.

Spodziewał się od niej pocałunku, ale ona położyła znów dłoń na jego piersi.

- Pospiesz się, Williamie. Nie wytrzymam dłużej, muszę je wreszcie zobaczyć.

Przełknął jakoś rozczarowanie i sięgnął do kieszonki, wyciągając z niej ciemne aksamitne zawiniątko.

- Znasz z pewnością historię tych klejnotów - zaczaj. - Królowa Elżbieta I podarowała je pierwszemu lordowi Redbridge. Od tamtej pory przechodzą po kolei z rąk do rąk kolejnych narzeczonych mężczyzn z rodu Coltonów. Ale te szafiry i brylanty to nie tylko szlachetna ozdoba. Mówi się, że są zaczarowane. Wierzmy, że mają czarodziejską moc.

- Wiem, słyszałam o tym. Mogę je wreszcie ujrzeć?

Patrzyła niecierpliwie, jak William delikatnie odwija kawałek miękkiej materii, z którego po chwili wyłonił się prawdziwy skarb. Naszyjnik z mieniących się szafirów i brylantów prześcigał nawet gwiazdy swym niezwykłym blaskiem.

- Williamie, zaniemówiłam. Są olśniewające. - W głosie Katherine, kiedy w ciszy uniosła palec i dotknęła kamieni, brzmiała nutka prawdziwej admiracji.

William posłusznie ułożył kolię wokół jej szyi i lekko nachylił się, aby ją zapiąć.

- Prędzej, Williamie.

Zameczek nie chciał się jednak zapiąć. William zmarszczył czoło, Katherine tupnęła.

- Co się dzieje? Może ci tu za ciemno? Wiedziałam, powinniśmy to byli zrobić wewnątrz, żeby wszyscy widzieli. - Przytrzymując łańcuszek, odwróciła się do niego.

William patrzył na klejnoty, nie wierząc własnym oczom. Jeszcze chwilę wcześniej oślepiały niemal blaskiem, a teraz, spoczywając na dekolcie narzeczonej, zmętniały i pociemniały, jakby straciły całą swą świetność.

- O co chodzi? - spytała, pochylając głowę, by spojrzeć na kamienie, po czym uniosła ją znów ku jego zachmurzonej twarzy. - Co ci się stało?

Potrząsnął głową i zabrał jej naszyjnik. W tym samym momencie klejnoty rozżarzyły się, oślepiając jak ogień.

- To... zapięcie. Musiało się zepsuć. - Wypróbował je ponownie, działało bez zarzutu.

Nie pojmował tego. Po raz wtóry założył jej naszyjnik, tym razem stojąc do niej twarzą, by mógł go widzieć.

Niemal w jednej chwili kamienie przygasły, przybierając na skórze Katherine barwę błota. Zapięcie zaś, które przed chwilą funkcjonowało znakomicie, odmówiło znów posłuszeństwa. Po plecach Williama przebiegł dreszcz. Nie przywidziało mu się nic, to był fakt.

Katherine, zniecierpliwiona czekaniem, podniosła rękę do szyi. Naszyjnik niczym żywa istota prześliznął się między jej palcami i niechybnie upadłby u jej stóp, gdyby William w ostatniej chwili go nie uratował.

Trzymał w drżących dłoniach pulsujący życiem klejnot.

- Co robisz? - zdumiała się, patrząc, jak William pospiesznie zawija szafiry w aksamitny materiał.

- O mały włos nie popełniliśmy strasznego błędu. - Wsadził pakuneczek do kieszonki na piersi i wziął Katherine za rękę. - To ci się pewnie wyda niepojęte, i przepraszam cię za to najpokorniej, ale szafiry Coltonów nigdy się nie mylą. Jeśli zmieniają barwę i tracą swój blask, to istnieje ryzyko, że unieszczęśliwilibyśmy się na resztę życia.

Wyrwała rękę i odsunęła się od niego.

- Nie rozumiem.

- Nie możemy się jutro pobrać.

- Z powodu jakiegoś naszyjnika? Chcesz nas wystawić na pośmiewisko? Narazić na gniew naszych ojców? Przez głupie kamienie? - Zdecydowanie na twarzy Williama doprowadziło ją do furii. Zmrużyła oczy. - Chyba żartujesz? Jeśli będziesz się upierał przy tej dziecinadzie, ośmieszysz mnie w oczach całego Londynu.

- Te klejnoty...

- To tylko kamienie! - Była na granicy hysterii. - Nie mają żadnej tajemnej mocy. Szukasz tylko wymówki.

William kategorycznie zaprzeczył.

- Spróbuj zrozumieć, Katherine.

- Ależ rozumiem. Jestem ci bardziej potrzebna niż ty mnie. Jeśli odejdziesz, nie zyskam tylko szlacheckiego tytułu, za to ty stracisz dużo więcej. Mój ojciec już o to zadba. Nie zostawi mnie samej w nieszczęściu.

- Wiem, co mnie czeka, Katherine. Wybacz mi. - Determinacja w jego oczach nie dawała nadziei na zmianę decyzji. - Te kamienie nigdy się nie mylą. Znając ich wyrok, muszę się z nim pogodzić.

- Nie! Nie zrobisz mi tego! - Rozsunęła balkonowe zasłony i z płaczem wbiegła do sali.

Goście, widząc ją we łzach, zamilkli. Znalazła pocieszenie w ramionach matki.

- Co się stało, moje dziecko? Mnie i ojcu możesz powiedzieć, na pewno jakoś temu zaradzimy.

- Nic nie możecie zrobić. William Colton, ten podły oszust, zerwał właśnie nasze zaręczyny, i to w wigilię ślubu. I tylko z powodu tego... przeklętego naszyjnika.

- Gdy wybuchnęła histerycznym płaczem, służba pomogła jej opuścić salę.

Oświadczenie Katherine wywołało martwą ciszę. William musiał samotnie stawić czoło dwu zdumionym i wzburzonym rodzinom.

- Mężczyzna, który ma za syna takiego głupca - krzyczał Henry Mansfield - sam jest głupcem! - Rozwścieczony, przystawił wyciągnięty palec do piersi lorda Redbridge.

- Twój syn, panie, nie zasługuje na rękę mojej córki, a ty nie zasługujesz na moją przyjaźń. Od dzisiaj nie jesteś mile widziany w moim domu i wśród moich przyjaciół. Zadbam o to, żeby zniszczyć ciebie i twoje potomstwo, tak jak ty zrujnowałaś życie mojej jedynaczki.

Stary lord nie mógł tego znieść. Nigdy dotąd nie doświadczył publicznego upokorzenia. Rzucił krótkie spojrzenie na milczących gości, chwycił ramię swej małżonki i ruszył do wyjścia, gdzie czekał służący z jego podróżnym płaszczem. Na progu obrócił się jeszcze do swego syna i krzyknął, nie zważając na licznych świadków:

- Zapamiętaj sobie, Williamie. Zhańbiłeś nasze dobre imię. Nie jesteś już moim synem, pozbawiam cię dziedzictwa i tytułu. Wszystko to otrzyma twój młodszy brat. I uważaj, bo jeśli cię zobaczę na ulicy, nie przyznam się do ciebie. Dla mnie jesteś już martwy. Zrozumiałeś?

William widział łzy w oczach matki. Tak bardzo chciałby ją pocieszyć, ale... nic została zerwana. Rozumiał, że stracił wszystko, co się dla niego liczyło. Dom, rodzinę, przyjaciół. A także tytuł i styl życia, który od pokoleń przechodził w jego rodzinie z ojca na syna. Teraz ci, którzy darzyli go miłością, nie tylko mu nie wybaczą, ale dopilnują, żeby poniósł karę za dyshonor, jaki przyniósł rodzinie. A wszystko przez ostrzeżenie, którego udzieliły mu szafiry, duma jego przodków. Zobaczył w nich swą ponurą przyszłość z Katherine. Za karę będzie zmuszony pogodzić się z innym, równie ponurym losem, w którym zabraknie mu przywilejów, władzy i honoru.

Opuszczał dom Mansfieldów z podniesioną głową. Nie odwracając się, dosiadł konia i zniknął w ciemności, która prowadziła go, samotnika bez przyjaciół, w nieznane. Przeszłość już nie istniała. Przyszłość była ciemna i gorzka jak zamykająca się wokół niego noc.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Surrey, Anglia, 1755

- Spójrz no na tego tara. - Farmer wsparł się na szpadlu i spoglądał na jeźdźca w czarnym stroju, który wyłonił się zza wzniesienia. - Ponoć to wydziedziczony syn lorda, tak gadają. Nie więcej on teraz znaczy niż pański lokaj. Nie dziwota, że trzyma się na uboczu i z nikim nie gada.

Chłopak pracujący u boku farmera podniósł wzrok i przytaknął.

- Mówią co niektórzy, że to dzięki niemu lord Kent podwoił co najmniej swoje włości.

- Taa. To być może. Człowiek bez serca i sumienia znajdzie sposób, żeby jego słudzy pracowali za dwóch. Słyszałem też, że starego Duncana i jego wnuka wyrzucono z ziemi. Jego rodzina pracowała na niej od stu lat, a może i dłużej.

Chłopak przeraził się.

- A więc to prawda?

- Ano tak. - Farmer skinął głową. - Śpią pono w stodołach i żyją z żebractwa. A wszystko przez tego Williama Coltona.

- Jestem bardzo zadowolony z twojej pracy, Williamie. - Lord Richard Kent opierał się ciężko na lasce, przechodząc przez pokój, aż zasiadł z ulgą na krześle.

- Dziękuję, wasza lordowska mość.

William Colton, w ciemnym kaftanie i spodniach wciśniętych w czarne wysokie buty, stał na wprost kominka, bardziej wyglądając na pana tego dworu niż jego pracodawca. Wszystko było w nim pańskie: strój, postawa, dumne, można by rzec, aroganckie spojrzenie lodowatobłękitnych oczu. I nieodłączna bruzda na czole.

- Przez dwa minione tygodnie objechałem twoich dzierżawców, panie. Na pewno ucieszy cię wiadomość, że twój udział w zbiorach, panie, będzie w tym roku dwa razy większy niż w ubiegłym.

- A co z moimi dłużnikami? Wyrzuciłeś ich, tak jak kazałem?

- Tak, panie.

- Bardzo dobrze. A akta prawne, potrzebne, żeby zdobyć nowe parcele od wdowy po lordzie Turnberry?

- Są tutaj. - William zbliżył się i podał lordowi Kent zwój papierów. Oczy starego szlachcica lśniły niekłamana żądzą.

- Doskonale. Widzę, że najmując cię na nadzorcę moich włości, nie popełniłem błędu.

- Zrobiłem też listę dzierżawców, którzy zaniedbują się w pracy, z powodu choroby lub wieku. Jeśli zechcesz, panie, przejrzeć księgi...

- Zostaw je.

William zdziwił się. Lord Richard Kent miał zwyczaj codziennego niemal przeglądania ksiąg, sprawdzając swoje straty i dochody. Nie było dla nikogo sekretem, że chce być najbogatszym właścicielem ziemi w całym Surrey.

Starego Kenta dopadł atak kaszlu. Przez kilka minut trzymał przy ustach chusteczkę, aż jego oddech powrócił do normy.

- Chciałbym z tobą rozważyć inne sprawy.

William spojrzał mu w oczy, nie wiedząc, ku czemu starzec prowadzi.

- Kiedy przybyłeś tu pięć lat temu, miałem wrażenie, że zesłały cię niebiosa. Jak wiesz, nieszczęśliwy wypadek uniemożliwił mi osobiste nadzorowanie moich posiadłości. Nie mam syna i bałem się, że mój bratanek zechce wykorzystać tę sytuację. Dzięki tobie i doskonałym nauczycielom, którzy zapewne prowadzili cię w młodości, utrzymałem mój stan posiadania, a co więcej, pomnożyłem go.

Przyglądał się milczącemu młodemu mężczyźnie, świadomy bólu, jaki sprawił mu, wspominając jego przeszłość. William w ciągu pięciu lat ani razu o niej nie mówił. W ogóle nie mówił o sobie, o przeszłości, przyszłości czy swoich nadziejach. Nie mógł jednak utrzymać w tajemnicy rodzinnej historii. W

całej Anglii wiadano, że został wydziedziczony przez ojca, że stał się przyczyną nieustającej walki między rodami Mansfieldów i Coltonów.

Lord Kent skorzystał na tym. Młody Colton, zapewne z powodu doznanego wcześniej upokorzenia, stał się szorstki i twardy, co stało się już legendą. Dzierżawcy pracowali za dwóch ze strachu przed utratą ziemi, którą uprawiali od pokoleń, a kufry lorda Kenta napępniały się złotem.

- Jak wiesz, moja małżonka, niech jej ziemia lekką będzie, nie mogła dać mi potomka. Mam za to bratanka, który pewnego dnia upomni się o moją własność. - Starzec uśmiechnął się chytrze. - To z jego powodu pewnie żyję tak długo, bo myśl, że moje ziemie wpadną w ręce młodego Marcusa, zbyt mnie przeraża. Przepuści to zaraz na wino i dziewczki. Lord Kent wskazał Williamowi krzesło.

- Usiądź. - Uśmiechnął się, widząc niepewność na twarzy młodego człowieka. - Lekarz polecił mi, żebym osiadł w moim londyńskim domu, gdzie będzie mógł lepiej zająć się moim zdrowiem. Zanim to jednak uczynię, mam dla ciebie propozycję. Jeśli zechcesz w dalszym ciągu doglądać moich włości z dbałością, jaką okazałeś w ciągu minionych pięciu lat, i dalej postarasz się je powiększać, zaoferuję ci, oprócz tego, co do tej pory ci płacę, procent od zysków.

William gwałtownie uniósł głowę, nie tego się spodziewał.

- Wie pan, o jakiej sumie pan mówi, milordzie? Starzec przytaknął.

- Zostaniesz bogatym człowiekiem, Williamie. Bardzo bogatym. -

Rozciągnął usta w uśmiechu. - Oddam ci tylko sprawiedliwość, ponieważ masz szczególny dar wybierania najlepszej ziemi i pilnowania, aby ci, którzy na niej pracują, dawali z siebie więcej, niż ich na to stać. - Zastanowił się raptem, w czym tkwi sekret Williama. Czyżby uciekał się do bicia? A może dzierżawców przeraża perspektywa utraty ziemi? Jakkolwiek było, Kent był wdzięczny. - Słyszałem, że jesteś nieustępliwy, Williamie. To ważna cecha u mężczyzny. - Lord Kent wyciągnął rękę. - Aby skusić cię jeszcze bardziej - podniósł do góry

dokument - kazałem moim prawnikom przygotować umowę dotyczącą tego kawałka ziemi, na którym teraz mieszkasz. Jeśli się zgodzisz, będzie należała do ciebie, wolna od długów.

William studiował dokument, nie znajdując słów. Jego własna ziemia, której nikt nie będzie mógł mu odebrać!

- Jak mógłbym odmówić tak szlachetnej propozycji? Dziękuję, wasza lordowska mość.

- Nie ma za co. To ja ci dziękuję, za twoją pracowitość, dzięki której moje stare umęczone oczy mogą przyglądać się zachodowi słońca zamiast nudnym księgom. Tobie też to polecam, Williamie. - Zamilkł na moment. - Powiedz mi, kiedy ostatnio podziwiałeś wschód albo zachód słońca?

Zauważył, że młody człowiek zamyka się w sobie. Zdawało się, że mur, który zbudował wokół siebie William, jest zbyt wysoki i zbyt gruby, by ktokolwiek mógł go pokonać. I jak często zdarzało mu się przez minione pięć lat, starzec pomyślał o krążących wokół opowieściach. Mogłoby się wydawać, że funkcja nadzorcy obcych posiadłości urąga dobremu imieniu szlacheckiego syna. Tymczasem William Colton wypełniał ją z równą dumą, z jaką niegdyś nosił szlachecki tytuł.

Starzec podniósł się powoli i powłócząc nogami, przemierzał komnatę.

- Wyjadę do Londynu jutro z samego rana. Zostawiam swoje ziemie w kompetentnych rękach, spieszno mi zacząć kolejny etap mojego życia.

Kolejny etap życia. Jak dobrze rozumiał te słowa William Colton!

Zostawszy sam, zapatrzył się na rozległe wzgórza należące do jego pracodawcy. Była to ziemia piękna i zielona, nie znosiła jednak porównania z dobrami jego ojca. Zakazał sobie wracać tam myślami, słusznie spodziewając się związanego z tym cierpienia. Jego edukacja skupiała się na tym, jak pomnażać swe bogate dziedzictwo. Kiedy odmówiono mu tej możliwości, nie miał wyboru, wykorzystał swą wiedzę na rzecz obcego człowieka, nie marząc nawet o tym, że ten pozwoli mu czerpać z tego osobiste zyski.

A teraz ofiarowano mu właśnie życiową szansę. Do tej pory nie chciał nawet wybiegać myślą poza dzień dzisiejszy. Przyszłość jawiła mu się jako nieskończoność wypełnionych harówką dni i niezliczoność samotnych, beznadziejnych nocy. Za jedynych przyjaciół miał starca i chłopca, których przygarnął pod swój dach. Za jedyną pociechę - kufel piwa i przypadkową dziewczuchę z tawerny.

Zadowalał się tym. Aż do tej pory. Teraz, po raz pierwszy od pięciu lat, ujrział słabe światełko nadziei.

Postanowił uczcić swoje szczęście w tawernie Bubble and Squeak, gdzie podawano najlepszą baraninę w hrabstwie Surrey.

Potykał się na ciemnej dróżce, przeklinając, że nie wziął z tawerny latarni, którą mu proponowano. Nie pamiętał już smaku baraniny, lecz piwo było wyśmienite. I płynęło obficie. Po sześciu kufiach stracił rachubę. Dziękował Bogu, że następnego dnia przypada sobota. Gdyby musiał dosiąść konia o świcie i jechać na inspekcję do kolejnego gospodarstwa, chybaby na oczy nie widział.

Raptem zderzył się z zamkniętą furtką i padł jak długi, kiedy wychyliła się pod jego ciężarem. Zawstydział niebo kilkoma starannie dobranymi przekleństwami, zanim zdołał się pozbierać i ruszyć naprzód.

- Jeszcze tylko kilka kroków - mówił do siebie głośno - i będziesz mógł walnąć się na własne łóżko.

Całe szczęście, że nie przyjął oferty dziewczki z tawerny, żeby je ogrzała. Owszem, kusilo go, ale był zbyt zaćmiony piwem, aby zrobić z niej dobry użytek.

Dotarł do drzwi i oparł się o nie biodrem. Nie drgnęły. Przeklął starego, który widać zamknął je na zasuwę przed snem. Musiał użyć całej swej nadwątlonej siły, by wreszcie ustąpiły, i wtoczył się do środka, wpadając na ścianę z takim impetem, że zobaczył gwiazdy.

Nie przypominał sobie, żeby poprzedniego dnia stała tam ściana. Muszę być bardziej pijany, niż mi się wydaje, pomyślał. Zresztą co tam. Zasłużył sobie, miał co świętować, to był szczęśliwy dzień.

Przyłożył dłoń do czoła i słaniając się, przeszedł przez izbę. Było tam ciemniej niż w piekle. Wyciągnął przed siebie drugą rękę, na wypadek gdyby trafił na kolejną niespodziewaną przeszkodę. To wszakże nie pomogło, potknął się, choć nie upadł, przeklął znów, zatrzymał się i starał się jakoś pozbierać. A świat tymczasem wirował wokół niego.

Wówczas dobiegł go dźwięk otwieranych drzwi, ujrzał zbliżające się światło. Stary Duncan, pomyślał, chce go zaprowadzić do łóżka.

Ale nie był to Duncan.

- Boże na niebiosach! - Patrzył na zjawę, nie wierząc własnym oczom i myśląc, że uderzył się w głowę mocniej, niż przypuszczał. - Anioł.

Anioł miał na sobie coś długiego i przejrzystego, utkanego jakby z księżycowego pyłu. Przybrał kobiecą postać. Suknia muskała jej ciało i spływała na podłogę, okręcając się wokół bosych stóp, które płynęły raczej, niż stapały.

William objął ją spojrzeniem, od palców po czubek głowy. Twarz tak piękną, że nie mogła należeć do śmiertelnika, okalały miękkie loki błyszczące niczym złoto.

Potrząsnął głową, sądził, że pozwoli mu to pozbyć się optycznego złudzenia.

- Śniesz mi się czy jesteś prawdziwa?

- O, jestem całkiem prawdziwa - odparła niskim, brzęącym jak harfa głosem. - To też jest prawdziwe.

Uniosła rękę i przez moment Williama oślepiło światło świecy. Ale zaraz potem dojrzał w jej drugiej dłoni pistolet i zaczął się gwałtownie cofać.

- Zaczekaj. O co ci chodzi... - Poczuł ścianę za plecami, a kobieta przyciskała mu pistolet do piersi.

- Jeśli nie wyjdiesz stąd w tej chwili, będę zmuszona...

Nie zdołała powiedzieć więcej, bo jednym gładkim ruchem zgiął jej rękę, wyrwał broń i rzucił na podłogę. W następnej chwili obejmował kobietę, unieruchamiając jej rękę. Świeczka wysliznęła się i potoczyła po podłodze, gdzie zgasła, pogrążając izbę w ciemności.

- Jak śmiesz...

To znowu głos anielicy, który przyprawiał go o przyjemne dreszcze.

- Mógłbym spytać o to samo. - Jego głos był ochrypły od piwa i czegoś tam jeszcze. Dokładnie rzecz biorąc - niespodziewanego pożądanego, które walczyło właśnie z jego rozsądkiem. I wygrało, bo wsunąwszy palce we włosy kobiety, przyciągnął ku sobie jej twarz, odnalazł w ciemności jej usta i złożył na nich krótki, namiętny pocałunek. ,

Tak mu posmakowało, że odstąpił o krok przestraszony. Nie wiedział, czy mu się wydaje, czy cała izba przechyliła się pod jakimś zwariowanym kątem. Musiał się o tym przekonać. Rozmyślnie powtórzył pocałunek, nie przerywając tak długo, aż omal się nie udusił.

- Tak, jestem pijany - mówił do jej czoła - ale nie tak pijany, żeby nie odróżnić anielicy od kobiety.

Czuł w ciemności zapach jej włosów. Pachniały deszczówką. Czuł jej miękkie ciało, oszołomiony odpowiedzią swojego ciała. Może jednak nie upił się kompletnie...

- A teraz powiedz mi, kobieto, czemuż to przywitałaś mnie w tak osobliwy sposób, przykładając mi broń do serca?

- Zrobię to każdemu mężczyźnie, który śmie wdrzeć się do mojego domu. - Jej ciepły oddech pachniał polnymi kwiatami.

Musiał mocno wziąć się w garść, żeby jej znowu nie pocałować. Nagle uświadomił sobie, co powiedziała.

- Twojego domu?

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że był tak oślepiiony przybliżającą się ku niemu zjawą, że nie zdążył rozejrzeć się dokoła. Czyżby zabłądził?

Furtka. Tak, to go zmyliło. Wdowa Warner, której dom z niewielkim kawałkiem ziemi leżał w dole drogi, przy której stał także jego dom, miała identyczny jak on płot i furtkę.

Uwolnił ją z uścisku bardzo powoli i zrobił krok do tyłu. Pochylił się w poszukiwaniu świeczki. A gdy ją znalazł, trzymał krzemień tak długo przy knocie, aż ten zapłonął.

Uniósł świeczkę, aby popatrzeć wokół.

- Wybacz... pani. Myślałem, że jestem u siebie. Wypiłem. .. trochę piwa.

- Sądząc po zapachu, więcej niż trochę. - Zmarszczyła nos i odsunęła się od niego. - Poznają cię, panie. Gentleman - wyrzekła z pogardą - który nadzoruje ziemie lorda Kenta.

Niech pan się w tej chwili wynosi, mój panie. - Wyciągnęła rękę po świeczkę.

Oddał jej posłusznie świecę i w jej świetle zobaczył najbardziej zielone oczy, jakie widział w życiu. Oczy, które przyglądały mu się tak, jak sarna patrzy na myśliwego, który ustawił się, by wypuścić strzałę prosto w jej serce.

- Najpokorniej przepraszam, pani - rzekł chłodno i dostojnie. - Choć nie za pocałunek. Skłamałbym, gdybym za to przeprosił. Mam na sumieniu wiele wstydliwych uczynków, ale kłamstwo bynajmniej do nich nie należy. - Skłonił się lekko. - Życzę ci dobrej nocy.

Odwrócił się i wyszedł. Nie zdążył zrobić dwu kroków na zewnątrz, kiedy usłyszał, jak wdowa zamyka drzwi na zasuwę, a potem, dla bezpieczeństwa, czymś zastawia.

Uśmiechnął się. Wdowa Warner nie da chyba już nikomu szansy na to, żeby powtórnie przerwał jej sen. A ja wiem teraz przynajmniej, że sypia sama, pomyślał, tocząc się drogą. Sądząc po temperaturze pocałunku, było to zagadką.

Dlaczego żaden mężczyzna nie capnął dotąd takiego skarbu? Czyżby ta eteryczna istota była tą samą wysuszoną śliwką, która mieszka w chacie swego ojca od dwóch lat?

Widział ją dotąd z daleka, i nie zwrócił na nią uwagi.

Być może w chłodnym świetle poranka odkryłby wady, które mu umknęły podczas krótkiego nocnego spotkania. Na razie nie miał wątpliwości, że jej obraz, obraz pięknego zagniewanego anioła, nie opuści go do końca tej nocy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Molly Warner spieszyła drogą, z radością dźwigając na ramieniu ciężki koszyk.

Po mszy niedzielnej dostarczyła suknię pani Mobley z plebanii, a ta zapłaciła jej tuzinem jajek. Molly przesiedziała też niejedną dzień i niejedną noc, szyjąc piękną koszulę i kamizelkę dla młynarza, za co z kolei otrzymała worek mąki. Zaś żona mieszkającego w sąsiedztwie farmera, która zamówiła u niej fantazyjną suknię i kapelusik dla swojej córki na wydaniu, dała jej za pracę kawał wołowiny z ostatniego uboju.

Molly uniosła twarz ku letniemu słońcu i westchnęła z przyjemnością. Czowała się, jakby otrzymała iście królewską zapłatę. Miała w koszu dość stawy na parę tygodni, jeśli będzie oszczędnie nią gospodarować. Dawno już nie widziała takiej obfitości jedzenia. Uczciwie wynagrodzono jej nieskończone dni i noce, które spędziła z igłą i nitką, aż jej palce zeszywniały, a wzrok zaczynał się mącić.

Spoważniała nieco, mijając furtkę Williama Coltona. Skarb, który niosła w koszyku, i piękna pogoda wynagradzały jej koszmar minionej nocy, który zawdzięczała temu pijanemu gburowi.

Po jego wyjściu spędziła pozostałe nocne godziny przewracając się z boku na bok, nie mogąc o nim zapomnieć.

Czuć było od niego piwem i tabaką, co zawsze przypominało Molly o zmarłym mężu. Ale co gorsza, ów nieproszony gość śmiał ją dotknąć. I pocałować.

Dotąd przechodziły jej ciarki po plecach. Była w tym mężczyźnie jakaś tajemnica, nieznane niebezpieczeństwo, coś... niepokojącego.

Nie mogła sobie wybaczyć, że odpowiedziała na jego pocałunek, tłumaczyła to sobie zaskoczeniem i strachem. Cóż innego bowiem mogło to spowodować? Jak inaczej wyjaśnić sensacje, które przeżywała w jego uścisku? Była wierną żoną Jareda i aż dotąd nie miała porównania.

Najbardziej ze wszystkiego denerwowało ją, że to właśnie William Colton. Różne wieści o nim słyszała. Podobno zhańbił swoją rodzinę, nie wiedziała tylko, w jaki sposób. Był znienawidzony przez tych, którzy byli zmuszeni do ciężkiej harówki pod jego bezlitosnym spojrzeniem. Pił, chodził na dziewczki. Poznała to na własnej skórze i miała dosyć.

Otworzyła furtkę i ruszyła ogrodową ścieżką, przy której rosły pierwiosnki. Kwiaty dziczały, bardzo ją to zasmucało. Kiedy żył jej ojciec, wszystko było przycięte i zadbane. Teraz winorośl pieniała się bez ładu i składu, dławiąc inne krzewy, wspinała się na mur domu i jeszcze moment, a przesłoni okna, nie przepuszczając światła.

Molly brakowało czasu i siły, by się tym porządnie zająć. Całymi dniami, do późnego wieczoru, tkwiła pochylona nad szyciem, żeby się jakoś utrzymać. Gdyby nie ten jej talent do krawiectwa i mały domek z kawałkiem ziemi po ojcu, byłaby skazana na nędzę.

Powrót do domu ojca po śmierci Jareda był przykrym, poniżającym doświadczeniem. Musiała przyznać się, że jej mąż był pijakiem, utracjuszem i dziwkarzem, i zostawił ją bez środków do życia, w tym, co miała na sobie. Wierzyciele zabraliby jej i to, gdyby mogli. Jeden z nich, którego grubiańskie maniere dotknęły ją do żywego, dał jej nawet do zrozumienia, że zna pewien łatwy sposób, w jaki mogłaby spłacić mężowskie długi.

Po ośmiu latach u boku Jareda Warnera, znalazła w domu ojca kojący duszę spokój. Nawet trud opieki nad ojcem w ostatnich chwilach jego życia nie wydobył z jej ust słowa skargi. Teraz, po tej jednej niespokojnej nocy, znowu

poczuła się rozbita. Będzie musiała zachować zdwojoną ostrożność, pomyślała, aby uchronić swój honor i życie.

Dotarłszy do drzwi, ujrzała raptem człowieka ze swych ponurych myśli. Mijał jej dom od tyłu. Nie zauważył jej jeszcze. Był cały odziany w czerń, co dawało mu jakiś diaboliczny wygląd. Z głową uniesioną wysoko przyglądał się drzewom wznoszącym się ponad jej dach. Wyglądał jak pan, który dokonuje przeglądu dóbr. Jego długie nogi w czarnych bryczesach i wypucowanych czarnych butach pozwalały mu swobodnie poruszać się w wysokiej trawie.

U jego boku biegł pies myśliwski, który, wyczuwając jej obecność, podniósł uszy i ostrzegł swego pana wyciem.

William odwrócił się ku niej.

- Pani Warner. - Nie zdawał sobie sprawy, że zmarszczył czoło. Wciąż bolała go głowa po nocnych hulankach, a gardło miał tak wyschnięte, że z ledwością przełykał. Nieprędko pewnie pociągnie go znów do piwa. Za to jeśli chodzi o usta tej kobiety, to co innego.

- Pan Colton. - Nie ruszyła się z miejsca, żeby zachować między nimi odpowiedni dystans.

W świetle dnia wyglądała zupełnie inaczej. Miała na sobie skromną suknię, wyblakłą i znoszoną. Szal udrapowany starannie na ramionach ukrywał kobiece kształty. Włosy ściągnęła do tyłu w gładki kok i przykryła kapeluszem. Nie stało to jednak z jego pamięci obrazu anielicy, która zaatakowała go śmiało z bronią, i której usta były słodsze niż majowe wino.

- Przyszedłem, żeby przeprosić za wczorajszą noc.

W słońcu jego oczy miały wyjątkowy odcień błękitu. Zaskoczyło ją to. Nie była też przygotowana na to, jak na nią patrzył, właściwie wpijał się w nią wzrokiem.

Odczuła już siłę swojego nocnego gościa. Był wysoki, musiała podnosić głowę, żeby zajrzeć mu w twarz. I to nie było jakąś twarz, o wysokim czole, szlachetnym nosie i drobnym przedziałku na brodzie.

- Przyjmuje pańskie przeprosiny. - Przeniosła spojrzenie na psa, tak było bezpieczniej. Musiała zresztą uciec jakoś przed jego wzrokiem. - Nie wiedziałam, że ma pan psa, choć szczerze mówiąc, wygląda na wilka.

Pies był ogromny, bardziej szary niż czarny, z długą kudłatą sierścią i szeroką mordą. Jednym chapnięciem mocnych szczęk mógłby pewnie złamać człowiekowi rękę.

- Nie słyszałam szczekania w pańskim domu.

- Rzadko szczeka. I nie należy do mnie. To znaczy, sy- . pia na moim progu. Przyszedł któregoś dnia z lasu wygłodzony, nakarmiłem go, i teraz nie chce mnie opuścić.

- A zatem jest pański, panie Colton, czy pan tego chce, czy nie. - Odwróciła się do drzwi, żeby zakończyć rozmowę. - Proszę wybaczyć, życzę panu dobrego dnia.

- Proszę zaczekać. - Dotknął lekko jej ramienia, kiedy go mijała.

Co za nonsens! - pomyślała. Przecież widać, że to arogant, nic więcej.

- Chciałbym spytać, czy nie myślała pani czasem o sprzedaży tego domu i ziemi?

- Sprzedaży... - To ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć. - Przykro mi, to nie jest na sprzedaż.

- W ten sposób powiększyłbym swoje grunty. A skoro już spotkaliśmy się, miałem nadzieję, że zechce pani przynajmniej rozważyć moją ofertę.

- To dom mojego ojca. Tu się wychowałam. - Mówiąc to, zobaczyła błysk w jego oczach. Znak bólu, być może, który szybko jednak zniknął, zastąpiony spojrzeniem tak ponurym i groźnym, że musiała się odwrócić. Naprawdę miała go już dosyć. Zawołała przez ramię: - To nie jest na sprzedaż, panie Colton, za żadną cenę!

Otworzyła drzwi i weszła do środka, czym prędzej zamykając się. Już po drugiej stronie oparła się na moment o drzwi, uświadamiając sobie, że drżą jej

nogi. Sama tego do końca nie rozumiała, ale ucieczka przed tym mężczyzną wydawała jej się koniecznością.

Czuła się wyjątkowo skrępowana w jego obecności, skazana na jego wzrok, nie wspominając już o dotyku.

Nie miała zresztą w ogóle zaufania do przystojnych mężczyzn, bo zazwyczaj uważali, że wszystkie kobiety ulegają ich wdziękom. Tyle że za ową urodą kryła się zwykle pustka. Już ona coś o tym wie. Jared Warner był przystojny i pełen czaru. Potrafił tak czarować, że skłonił jej ojca, by ten oddał mu ją, kiedy skończyła ledwie piętnaście lat. Obecnie, niemal dziesięć lat później, miała wrażenie, że całą swoją młodość poświęciła mężczyźnie, który myślał wyłącznie o sobie.

Tak, mając wybór, wybrałaby mężczyznę o twarzy muła. Taki musiałby ją zdobyć zaletami duszy. Obiecywała sobie, że jeśli w ogóle wyjdzie jeszcze za mąż, co zresztą jest wątpliwe, biorąc pod uwagę jej wiek i okoliczności, przedłoży cnoty charakteru wybranka nad wszystko inne. Bogactwo jest rzeczą nabytą, którą łatwo stracić. Uroda blednie z czasem. Ale dobre serce... tak, to jedyny prawdziwy skarb.

Uspokoila się nieco, odłożyła kosz na stół, zdjęła kapelusz i szal. Idąc do niewielkiej sypialni, dojrzała przez okno wysokiego mężczyznę z psem.

Nie poszedł do domu, ruszył przez łąkę w stronę lasu, z psem podskakującym radośnie obok. Pasują do siebie, pomyślała. Obaj trochę zbyt potężni, trochę zbyt władczy. I obaj, pies i jego pan, wydają się trochę dzicy.

Zajęła się przygotowaniem posiłku. Pragnęła raz na zawsze wyrzucić z myśli aroganckiego Coltona. Lecz i tak, świadomie czy nie, czuła, że ją rozpałił, że nią zawładnął. Jednym pocałunkiem.

William szedł przez łąkę zarośniętą pachnącą słodko koniczyną i wysoką po pas trawą. Pies od czasu do czasu przystawał, przykladał nos do ziemi, szukając zapachu ewentualnej zdobyczy. Doszedłszy do wysokiego krągłego głazu, William wsparł się na nim, wyciągnął z kieszonki fajkę, napełnił ją

tytoniem i zapalił. Podarował sobie ten luksus w ostatnich latach dla wypełnienia długich letnich wieczorów, kiedy był zbyt niespokojny, aby zasnąć.

Stadko owiec pasło się na wzgórzu. W gospodarstwie jego ojca także były owce. Jako chłopiec uwielbiał wychodzić z dzierzawcami na pastwisko, obserwować, jak psy zaganiają stado. Wspomnienia wywoływały ból, przypominały o stracie. I zawsze dopadały go znienacka. A on równie szybko starał się ich pozbyć. Nie zawsze wszak udawało mu się to, choć wiedział już, że dzięki temu może dalej żyć. Gdyby nie zdolność odcinania się od przeszłości, poddałby się i cierpiał.

Już tyle czasu szedł przez życie bez głębszej refleksji. Żył dniem dzisiejszym. Znalazł pracę, oszczędził trochę pieniędzy, osiadł na kawałku ziemi. Przygarnął nawet starego mężczyznę i chłopca, którzy nie mieli własnego kąta i żadnych środków do życia, choć zrobił to być może nie z dobrego serca, lecz z poczucia winy. W każdym razie uparcie odrzucał myśli wybiegające poza tu i teraz.

I oto po raz pierwszy od pięciu lat pozwolił sobie na taką myśl. Na nadzieję na przyszłość. Był teraz właścicielem zajmowanej ziemi, dom też należał do niego. Nikt mu tego nie odbierze. Przyszło mu do głowy, żeby powiększyć swoje stadko owiec. Pastwisko wykarmiłoby nawet kilka setek tych zwierząt. Gdyby jeszcze dodać do tego ziemię wdowy Warner, mógłby to podwoić.

Wdowa Warner...

Zaciągnął się głęboko i powolutku wypuszczał dym. Odkąd wróciła do domu ojca, widywał ją przelotnie. I uznał ją za nudną, prostą i skromną kobietę. Ostatnia noc to zmieniła.

Ognista lisica z twarzą anioła - tak teraz ją postrzegał. I ten obraz palił mu duszę.

Budząc się tego ranka, myślał nawet, że to był tylko sen. A jednak, widząc ją w ciągu dnia, przekonał się, że nie był to wybryk jego wyobraźni. Po raz pierwszy za grzecznym kokiem i prostą suknią zobaczył kobietę. Nikt nie zauważył dotąd jej zielonych oczu, bo odwracała je od ludzi, patrząc zwykle w ziemię pod nogami. Czy jest nieśmiała? - zastanawiał się, czy tylko gra, z zamiarem trzymania obcych, zwłaszcza płci przeciwnej, na dystans?

Oczywiście. Tak. Z tego samego powodu ukrywa swoje ciało pod bezkształtnymi, luźnymi sukniami i szalami.

Jest dziwna. Czuł, że pod jej skromnym obejściem i niezgrabnym odzieniem kryje się wielka siła. Nie poddała się, zmuszona do konfrontacji. Zaatakowała z dzikością niedźwiedzicy. Czekał, aż wdowa Warner wróci ze wsi, miał czas przyjrzeć się jej gospodarstwu. Ogród wymagał ręki dobrego ogrodnika. Dom - to przynajmniej, co dało się zobaczyć - wymagał naprawy. A jednak nie przyjęła jego propozycji. Odrzuciła ofertę kupna. Widać nie potrzebuje pieniędzy, pomyślał.

A może tylko jego pieniędzy nie chce?

Zaciekawiła go. Nie wiedział, jak daje sobie radę. Jest zdolną aktorką, grającą biedną wdowę? Jest skromną i cnotliwą kobietą, jak przedstawiała się światu, czy śmiałym pięknym aniołem, którego widział w nocy?

Uśmiechnął się i wydłubał resztki tytoniu z fajki, zanim wsadził ją z powrotem do kieszeni.

Postanowił dowiedzieć się więcej o wdowie Warner w nadchodzących dniach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Odstawiła ciasto do wyrośnięcia, wzięła koszyk z przyborami do szycia i przeniosła się w swoje ulubione miejsce w ogrodzie. Tam, na ławeczce w słońcu, rozłożyła swój cenny motek przędzy, szpulkę nici i igłę i zajęła się swym najnowszym zamówieniem. Camilla Cannon była żoną jednego z najbogatszych właścicieli ziemskich w Surrey. Zamówiła u Molly suknię i szal

do kompletu w kolorze bladej brzoskwini, dostarczyła jej nawet materiał i specjalną przędzę na ów szal, który Molly obiecała jej wydziergać. Czeka więc ją wiele godzin dłubaniny. Lecz jeśli pani Cannon będzie zadowolona, może to przyciągnąć do Molly wiele nowych dobrych klientek.

Bardzo lubiła szyć w ogrodzie. Oczami wyobraźni widziała swą matkę, siadującą na tej samej ławeczce z małą córeczką u boku, cierpliwie uczącą ją doskonałych ściegów, które wzbudzały zazdrość wszystkich kobiet w miasteczku. Molly była dumna ze swoich robótek. I wdzięczna matce, że wyposażyła ją w umiejętności, które pozwalały jej się utrzymać. Żał jej było biednych wdów i sierot, które były zmuszone do pracy w tawernach, a nawet gorszych zajęć, żeby tylko przeżyć. Jared przetracił za życia wszystko, co miało jakąkolwiek materialną wartość, nie odebrał jednak swojej żonie dumy, jaką znajdowała w pracy własnych rąk.

Kątem oka Molly dostrzegła jakiś ruch na polu. Podniosła wzrok, widząc ze zdumieniem siwowłosego mężczyznę, który wraz z towarzyszącym mu chłopcem szedł przez jej pole. Zdawało się, nawet z daleka, że mierzą jej grant krokami.

O niebios! Tak, naprawdę mierzą jej ziemię!

Podniosła się, wrzuciwszy uprzednio robótkę do koszyka, uniosła spódnice i pobiegła w stronę intruzów.

- Hej, wy tam!

Zatrzymali się i odwrócili w stronę, z której dobiegał jej głos. Był z nimi ten podobny do wilka pies, którego widziała już z Coltonem. Na jego widok cofnęła się o krok.

- Tak, proszę pani? - Starzec uklonił się czapką i szturchańcem dał znak chłopcu, by poszedł jego śladem.

- A cóż to robicie na mojej ziemi?

- Mierzymy ją, proszę pani.

- Właśnie widzę. Ale dlaczego? Kim jesteście? Kto dał wam prawo sprawdzać, ile mam ziemi?

- Przepraszamy, proszę pani. - Twarz starca była ogorzała od pracy na powietrzu. - Nazywam się Duncan Biddle, a to mój wnuk, Tyler. Mieszkamy tam. - Wskazał na dom Coltona.

- Poznałam jego psa. - Rozejrzała się, pies gdzieś zniknął.

- Tak, proszę pani. Dziś z rana, zanim pojechał na pole lorda Kenta, pan Colton kazał mi wymierzyć swoją ziemię.

- I moją też? - Dostrzegła nikły rumieniec na twarzy mężczyzny. - Kazał ci wymierzyć także moją ziemię?

- Tak, proszę pani.

- Nie powiedział czasem, dlaczego?

Duncan uśmiechnął się.

- Pan Colton chce kupić więcej owiec, proszę pani.

- Owiec. - Z trudem wyobrażała sobie swego sąsiada inaczej niż z kuflem piwa. Potem przypomniała sobie o jego propozycji. - Zapewne, gdyby miał moją ziemię, mógłby podwoić stado.

- Zapewne, proszę pani. - Starzec cofnął się. - Ale jeśli pani sobie nie życzy, pójdziemy sobie.

- Owszem, nie życzę sobie. Nie chodzi mi o was, ale pan Colton jest wyjątkowo bezczelny. Jak śmie mierzyć ziemię, która do niego nie należy? Możecie mu to ode mnie przekazać. A teraz żegnam, dobrego dnia wam życzę.

Nie zdążyła odejść, kiedy zobaczyła zmieszaną twarz chłopca.

- Co Wilk trzyma w pysku? - Chłopiec patrzył przed siebie, osłaniając oczy przed rażącym słońcem.

- Wilk? - Molly zakręciła się i ujrzała psa, który zmierzał ku nim wielkimi susami. Trzymał w zębach kłębek jej cennej przędzy, który rozwijał się po drodze, zostawiając za sobą w trawie perłowo-brzoskwiniowe pasma, które z daleka przypominały różowy bluszcz.

- O nie! Przędza pani Cannon! - Molly uniosła spódnicę i ruszyła do psa, który na jej widok czmychnął w bok.

- Ja go złapię, proszę pani. - Tyler ruszył w pościg za psem, krzycząc i gwizdząc.

Wilk, zachwycony zabawą, podskakiwał wesoło, a Molly, Duncan i Tyler bezskutecznie go gonili. Hasając wte i wewte, pies zostawiał w trawie coraz więcej przędzy, aż niewiele jej już zostało w jego pysku.

William Colton, wracając akurat do domu, ujrzał troje ludzi biegających w opętaniu po łące. Powietrze wypełniały ich pokrzykiwania i gwizdy. Zanim udało mu się wyrwać resztkę motka z psiego pyska, łąka zakwitła brzoskwiniowo. Na środku łąki siedziała Molly Warner z twarzą ukrytą w dłoniach i płakała.

- Co się tu dzieje? - zawołał William.

- To wszystko przez pana! - Uniosła zalaną łzami twarz. - Niech pan zobaczy, co narobił ten pański potwór!

- To moja wina. - Stary Duncan spieszył ku swemu panu, ciężko dysząc. - Nie zamknęliśmy Wilka w domu.

- On nie wiedział, że robi coś złego. - Tyler trzymał psa za szyję, a ten ciągnął go za sobą, biegnąc z wywieszonym językiem i machającym ogonem na powitanie Williama. - Jemu się zdawało, że to zabawa.

Zaczęli mówić jedno przez drugiego. Zrobił się taki har-mider, że nic już nie było wiadomo.

- Cisza!

Gdy wszyscy zamilkli, William zwrócił się do Molly:

- Może teraz powie mi pani, co się tu wydarzyło.

- Pański dziadek i syn - zaczęła, zauważając, że twarze trzech mężczyzn wykrzywiają się w uśmiechu. Jej złość wzrosła. - Czyżbym była zabawna?

- Nie, proszę pani. - Duncan potrząsnął głową. - Ale my nie jesteśmy krewnymi pana Coltona.

- Nie jest pan jego dziadkiem? A ty synem?

- Nie, proszę pani.

- Jesteście służącymi zatem?

Po twarzach starca i chłopca znowu przemknął uśmiech, wreszcie

William wyjaśnił:

- Duncan i Tyler mieszkają ze mną i pomagają mi w pracy, pani Warner.

Ale wróćmy... - Wskazał ręką na pokryte przędzą pole - do tego różowego krajobrazu.

- Pański pies... - Ponieważ kręcił głową, powtórzyła z naciskiem: - Pański pies, który, jak pan twierdzi, nie jest pańską własnością, porwał kłębek przędzy z mojego koszyka i doszczętnie go zniszczył.

William skinął na chłopca.

- Weź ten motek i spróbuj uratować, co się da, Tyler.

- Wyciągnął z kieszeni kilka monet. - Chętnie zapłacę za straty.

Zerknęła na pieniądze, a następnie przeniosła wzrok na jego chmurną minę.

- To była bardzo specjalna przędza, przeznaczona na wyjątkowy szal.

Zniecierpliwiony dorzucił grosza, skłaniając lekko głowę.

- Żywię zatem nadzieję, że będzie pani w nim bardziej do twarzy niż temu polu. - Odwrócił się do starca. - Całą drogę myślałem o baraninie, którą mi obiecałeś przyszykować. Dosłownie umieram z głodu.

Duncan odparł zmieszany:

- Proszę o wybaczenie, jeszcze się nie zająłem kolacją. Byliśmy... zajęci czym innym.

William jęknął głęboko, rzucając spojrzenie na Molly, dając jej znać, że czyni ją winną za owo spóźnienie.

- Więc to tak? - Molly wstała, wsparła ręce na biodrach.

- Daje mi pan kilka monet i ledwie przeprosza, i spodziewa się pan, że o wszystkim zapomnę?

William i Duncan odchodzili już. William odwrócił się w jej stronę.

- Spodziewam się, pani, wrócić spokojnie do domu, odpocząć i napełnić brzuch... - zerknął na starca - wczorajszą zimną pieczenia.

Molly patrzyła za nimi. Potem odwróciła się i zobaczyła Tylera, który posuwał się wolno przez pole, zbierając strzępy przędzy z każdego źdźbła trawy, każdej gałązki i listka. Westchnęła i pospieszyła do domu. Cieszyła się, że Wilk oszczędził resztę koszyka. Zabrała się do gotowania.

Po godzinie usłyszała delikatne pukanie do drzwi i znalazła za nimi Tylera, który trzymał w ręce zdeformowany, pokrecony i potwornie brudny kłębek przędzy.

- Dziękuję ci, chłopcze. - Starła się, żeby usłyszał jej wdzięczność, której wcale nie czuła. Pojęcia nie miała, na co jej taka zniszczona, zabarwiona trawą przędza. Obawiała się, że nic jej już nie pomoże. - Wejdz, poczęstuję cię w nagrodę ciastem.

- Dziękuję, proszę pani. Chętnie. - Chłopak zdjął czapkę, trzymając ją przed sobą, i rozglądał się po schludnej izbie. - Ładnie tu pachnie. - Bukiet lawendy suszył się zwieszony z powały.

- Dziękuję.

Przy stole Molly posmarowała ciasto dżemem agrestowym. Chłopcu poleciała ślinka, kiedy nalewała mu kubek mleka z nadtłuczonego garnka.

Pokazała mu miskę z wodą.

- Możesz się tam umyć.

- Umyć się, proszę pani? - spytał zdziwiony. Uśmiechnęła się.

- Jest tam mydło i ręcznik, chłopcze.

Przeszedł przez izbę, popatrzył nieufnie na mydło i wodę, po czym, wzruszywszy ramionami, zaczął myć ręce. Woda w misce w jednej chwili zamieniła się w błoto. Spłukał mydło i wytarł ręce, zostawiając brudne ślady na czystym płóciennym ręczniku.

- Siadaj, Tyler. - Molly wskazała mu miejsce przy małym drewnianym stole.

- Dziękuję, proszę pani. - Usiadł i pożarł ciasto trzema kęsami, następnie równie szybko osuszył kubek.

Patrząc na to, Molly wpadło coś do głowy.

- Czy William Colton głodzi cię? Nie daje ci jeść?

- O nie, proszę pani. Nic podobnego. Mam dużo jedzenia, ale nie jest takie smaczne.

Molly dała mu drugi kawałek ciasta i przysiadła się z filiżanką herbaty.

- Jak długo służycie już z dziadkiem u pana Coltona?

- Nie jesteśmy służącymi, proszę pani. - W głosie chłopca brzmiała nutka dumy. - Kiedy nas wziął do siebie, powiedział, że nie chce mieć żadnych służących. Że jeśli chcemy zostać, będziemy jeść z nim przy jednym stole i spać pod jednym dachem.

- Jeśli zgodzicie się zostać? - zdumiała się. - Dziwne stwierdzenie. Czemu musieliście się godzić?

- Nie mieliśmy dokąd iść. Mój dziadek całe życie był dzierżawcą, ale kiedy nie mógł już pracować jak dawniej, lord Kent pozbawił go ziemi.

Wiele razy spotkała się już z tym, życie nie było dla tych ludzi łaskawe. Dla wszystkich było trudne. W całej Anglii znalazłoby się całe mnóstwo kobiet doświadczonych jak ona, i masa młodzieńców, których spotkał podobny los co Tylera.

- Ale dlaczego zamieszkaliście z panem Coltonem? Nie masz rodziny? Gdzie jest twój ojciec?

- Nie, proszę pani, mój ojciec zmarł. - Chłopak spuścił wzrok. - Pan Colton dowiedział się, że nie mamy dokąd pójść, i zaprosił nas do siebie. Przedtem spaliśmy w różnych stodołach.

- A skąd się o was dowiedział?

Twarz chłopca poczerwieniała. Niespodziewane pukanie do drzwi sprawiło mu wielką ulgę.

Molly otworzyła i ze zdziwieniem ujrzała znów Williama Coltona, wciąż zachmurzonego. Czyżby nie potrafił zachować się inaczej?

William spojrzał ponad jej ramieniem na chłopca.

- Tu jesteś. Dziadek się martwi, zbieraj się. Chłopiec ruszył szybko do wyjścia.

- Udało mu się uratować trochę przędzy? - spytał William. Molly przytaknęła i wyciągnęła kłębek z kieszeni fartucha. William uniósł brwi.

- Sądzi pani, że uda się go oczyścić?

- Spróbuję, ale pewności nie mam.

Tymczasem mężczyzna zauważył drobne rudozłote kosmyki, które wysmyknęły się z jej gładkiej fryzury. Chętnie dotknąłby ich, ale zacisnął tylko dłonie w pięści.

Tyler czekał u boku Molly. Wdowa uśmiechnęła się i zaskoczyła go całusem w umazany policzek.

- Dziękuję ci. Zbieranie przędzy musiało być żmudną pracą.

- Nie szkodzi, proszę pani. - Chłopiec obdarzył ją rozmarzonym uśmiechem i ujął jej dłoń do pocałowania. - Dziękuję za ciasto i dżem.

Kiedy znalazł się za drzwiami, zobaczył Wilka i zakrzyknął radośnie:

- Witaj, staruszkule! Przyszedłeś z przeprosinami? Chłopiec i pies patrzyli na Molly z takim smutkiem

w oczach, że nie mogła się nie roześmiać. Tyler ucieszył się.

- Czy to znaczy, że pani mu już wybaczyła, proszę pani? Molly przytaknęła.

- Chyba tak. W końcu to tylko pies. Będę odtąd pilnować, żeby trzymać swój koszyk w bezpiecznej odległości od niego, żeby go nie kusić.

William szedł za chłopcem. Kiedy znaleźli się odpowiednio daleko od domu Molly, odchrząknął i rzekł:

- Pani Warner nakarmiła cię?

- Tak. Dała mi ciasto takie lekkie jak chmury. I dżem taki słodki, że mi przypomniał o Bożym Narodzeniu.

William zmarszczył brwi i pogłaskał chłopca po głowie.

- Musiało być smaczne. Gdybym wiedział, jaka jest nagroda, sam bym zbierał przędzę wdowy Warner.

- Nie. - Tyler położył palec na policzku, tam, gdzie pocałowała go Molly.

- Bo wtedy to pana by pocałowała, a mnie się nie trafiło nic tak przyjemnego, odkąd nie ma mojej mamy.

Chłopak puścił się biegiem, ścigany przez psa. Przed nimi były światła domu Coltona.

William został sam ze swoimi myślami, które krążyły wokół urodziwej wdowy. Zajmowała zresztą w jego myślach coraz więcej miejsca.

Dawniej całkowicie pochłaniała go praca. Teraz wciąż nachodził go obraz anielicy w lekkiej jak pajęczyna sukni, płynącej prosto w jego ramiona i sprawiającej mu przyjemność, jaką trudno sobie nawet wyobrazić. W każdej chwili potrafił przywołać jej smak, zapach, dotyk, których zaznał tak krótko.

Był cały rozpalony, pomimo chłodnego wieczoru, a jego myśli zawstydziłyby z pewnością anielicę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Molly zamknęła drzwi na zasuwę, nie przestając myśleć o swoim sąsiedzie. Dziwny jest z niego człowiek. Pełen złości i gburowaty, a mimo to znalazł w sercu miejsce dla bezdomnych: ludzi i zwierzęcia.

Ten odruch dobroci niczego nie zmieniał w ich relacjach.

I na pewno nie dawał Coltonowi prawa do traktowania jej ziemi jak własnej.

Zerknęła na monety wrzucone do koszyka. Dobrze choć, że poczucie przyzwoitości kazało mu wynagrodzić jej szkody. Dość, że będzie musiała z rana pofatygować się do miasta po nową przędzę. Będzie też zmuszona szyć i

dziergać do nocy przy świecy, wtedy zdąży może skończyć robotę do następnej niedzieli.

Westchnęła i zdjęła poczerniały garnek z ognia. Podniosła pokrywkę, nałożyła na talerz duszoną wołowinę z sosem i usiadła do stołu. Po posiłku przyniosła z pobliskiego strumienia świeżą wodę i zagrzała ją na piecu do zmywania. W części ciepłej wody wyprała porwaną przędzę i rozłożyła ją do wyschnięcia wzdłuż stołu.

Wreszcie ściągnęła suknię, kamizelkę i halki i je także wyprała, by nie zmarnować ani kropli cennej wody z mydłem. A kiedy już wszystko zostało rozwieszane przy piecu, umyła się, łącznie z włosami. Przebrała się w nocną koszulę, zarzuciła szal na ramiona i wyszła do ogrodu. Usiadła na ławce i czesała wilgotne włosy, aż zaczęły wysychać.

Ta letnia noc była wyjątkowo piękna. Lekki wietrzyk niósł zapachy z łąk i pól, niebo z księżycem w pełni żarzyło się gwiazdami. Molly, zatrzymując rękę z grzebieniem, obserwowała drogę spadającej gwiazdy. Zamknęła oczy i pomyślała życzenie, nie przejmując się, że to dziecinada.

- Wilk, idziemy! - William otworzył drzwi i pies szurnął przez nie, uradowany perspektywą wieczornego spaceru.

Drugą izbę wypełniało już chrapanie Duncana i posa-pywanie Tylera. William był zbyt niespokojny, aby zasnąć. Pomyślał, że długi spacer pomoże mu oczyścić się z trosk. Zamknął drzwi i wolno ruszył za psem, który przystawał co parę kroków, wachał ziemię, zaciągał się powietrzem i biegł naprzód.

William trzymał się z dala od drogi, szedł polem w górę, aż dotarł do miejsca, z którego mógł objąć wzrokiem swoją ziemię. Usiadł na pniaku, napełnił fajkę tytoniem, zapalił i na zmianę wciągał i wypuszczał kłęby dymu, patrząc na łagodne zbocze pokryte polami uprawnymi. Dawniej patrzyłby na tę skromną własność z pogardą, na wszystko zresztą poniżej pałacu czy dworu. W młodości do głowy by mu nie przyszło, żeby samemu zadbać o swoje potrzeby,

nie musiał martwić się ani o to, co będzie na stole, ani o to, w co się ubierze. O wszystko to dbali inni. Co gorsza, zwykł był patrzeć na nich z góry, nie pomyślał, że także są ludźmi i mają swoje problemy.

Jego ojciec nigdy nie dowie się, w jakie piekło wrzucił go, wypędzając z domu w ciemną noc, w tym tylko, co miał akurat na grzbiecie.

William wypuścił kolejny kłęb dymu, wspominając, w jakiej był wówczas rozpacz i jak bał się przyszłości. Zanim znalazł sobie zajęcie, które dawało mu utrzymanie, sypiał, jak Duncan i Tyler, w stodołach. Trudnym chwilom miał jednak coś do zawdzięczenia - wyposażyły go w wewnętrzną siłę, której nie odkryłby w sobie, nie doświadczając bólu.

Nie wróciłby teraz do tamtego życia, które uważał wówczas za coś naturalnego: łatwego życia syna ludzi bogatych i uprzywilejowanych. Teraz mógł być dumny z własnych dokonań, a nie z osiągnięć przodków. Nie porzuciłby odkrytej wolności nawet za tytuł lorda Redbridge, który kiedyś cenił najbardziej na świecie. Bo jego zdobyta wolność nie pochodziła z dziedzictwa, ale z potu jego własnej pracy. I przyniosła jeszcze inną, cenniejszą wolność. Mógł teraz wybierać przyjaciół nie według zawartości ich sakiewki, ale wedle cnót ich charakteru. Mógł poślubić kobietę z miłości, a nie z obowiązku.

Chociaż wcale nie miał zamiaru się żenić. Nie narodziła się bowiem taka kobieta, dla której porzuciłby swą z trudem zdobytą wolność. Rozmyślając tak, zobaczył znów w wyobraźni anioła, który zmierza ku niemu, ze złotymi lokami wokół twarzy.

Przeniósł spojrzenie na ciemny zarys domu wdowy Warner. W ciągu paru dni sprawiła mu więcej kłopotów, niż miał przez całe lata. A już zdawało się, że jego życie zmienia się na lepsze.

Muszę pamiętać, pomyślał, żeby nie utożsamiać swojej wizji z wdową Warner. To tylko nadmiar piwa stworzył w jego wyobraźni absurdalne obrazy. Rzeczywistość to Molly Warner - kobieta nieciekawa i źle ubrana, która czepia się wszystkiego, co jego dotyczy, począwszy od psa, przez jego przyjaciół, a na

jego życiu skończywszy. Będzie szczęśliwy, gdy wreszcie zdoła ją przekonać, by odstąpiła mu ziemię i gdzieś się przeniosła.

Wyczyściwszy fajkę, wsadził ją do kieszeni i ruszył w dół wzgórza. Z tego miejsca mógł lepiej docenić wartość, jaką stanowiłaby dla niego ziemia wdowy. W jej małym domu mogliby zamieszkać Duncan i Tyler, dzięki czemu on czułby się u siebie swobodniej. Nie wchodzili mu co prawda w paradę, starali się okazywać mu wdzięczność równie hojnie, jak on okazywał im dobroć. Stary potrafił zrobić wszystko, opiekował się zwierzętami, siał i zbierał. To dzięki niemu żywopłot był zawsze porządnie przycięty, dach naprawiony, kamienie usunięte z pola i ułożone jeden na drugim, tworząc mur. Chłopak był równie pracowity, czyścił palenisko, przynosił wodę ze strumienia i pomagał w innych pracach domowych.

Zbliżając się do domu wdowy, William poczuł dumę właściciela. Powiedziała, że nie jest zainteresowana sprzedażą, ale widział przecież, jak zdenerwowała ją utrata przędzy i jak chętnie przyjęła jego pieniądze. Było oczywiste, że jej sytuacja jest dużo gorsza, niż pokazywała na zewnątrz. William był pewny, że większa ilość złota będzie dla niej argumentem nie do odrzucenia. To wszystko będzie moje, myślał, mijając zarośnięty ogród, jeśli tylko dobrze to rozegram.

Nie mógł, niestety, szczycić się cierpliwością. Może wynikało to z jego pochodzenia, a może było wadą charakteru. Tak czy owak to, co postrzegano jako arogancję, wynikało właśnie z niecierpliwości.

Raptem jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. William spojrzał i stanął jak wryty. Miał znów przed sobą anielicę ze swych rojeń, jeszcze piękniejszą, niż pamiętał. Miała na sobie tę samą połyskującą suknię, która opływała jej ciało jak strumień kamienie. Było to ciało o doskonałych proporcjach, z wysokimi piersiami i talią tak szczupłą, że można by ją objąć dłońmi. Anielica czesała włosy, głowę miała lekko przechyloną na bok. Jej profil był idealny, a końcówki długich rzęs złociły się w świetle księżyca.

Uśmiechnął się. W gniewie unosiła lekko zaokrągloną brodę wyżej niż niejedna władczyni, i pewnie zrobiłaby to teraz, gdyby wiedziała, że ma świadka swojego intymnego obrządku.

William nie ujawnił swej obecności. Po cóż, w końcu, miałby ryzykować? Z chęcią stałby tak jeszcze niemo i patrzył, przez całą noc nawet, gdyby ona tu została.

Raptem dopadł do niego pies, a Molly natychmiast usłyszała hałas. Przestraszyła się, widząc w ciemnościach tylko jakieś zarysy postaci.

William nie miał już wyjścia, wyszedł z cienia.

- Proszę o wybaczenie, pani Warner, nie chciałem pani przestraszyć. Wyprowadziłem Wilka na spacer. Nie wiedziałem, że jest pani w ogrodzie.

Molly chwyciła szal i otuliła nim ramiona.

- Czyżby spacerowanie z psem po moim ogrodzie weszło panu w krew?

- Nie, ja... - Przeklął się w duchu, że znów zaognił sytuację. - Oczywiście, że nie. Wilk puścił się przodem, szedłem za nim.

Pies był już przy Molly, wymachiwał ucieszenie ogonem. Przykucnęła i podrapała go za uszami.

Podnosząc po chwili wzrok, zobaczyła wpatrzone w nią oczy. Najchętniej wzięłaby nogi za pas i uciekła.

- Życzę panu dobrej nocy, panie Colton.

Milczał. Nie mógł wydobyć z siebie głosu ani odwrócić oczu. Zahipnotyzowała go po prostu.

Powinienem odejść, pomyślał. Zostawić ją z ciepłym, pachnącym wiatrem. Nie potrafił.

- Panie Colton? - Postąpiła o krok i wyciągnęła do niego rękę. - Źle się pan czuje?

Ujął jej dłoń i trzymał tak mocno, że nie mogła jej wyszarpnąć.

- Nie jestem pijany.

- Nie twierdzą tego.

- Próbowałem sobie wytłumaczyć, że tamtej nocy widziałem w pani domu zjawę w pijackim widzie. Teraz wiem, że to nieprawda.

- Bardzo pana proszę...

Zasłonił jej usta ręką, a kiedy poczuł dotyk jej warg, nie mógł oderwać dłoni. Poruszył kciukiem, jej wargi zdrząły. Czyżby czuła to samo co on?

- Muszę panią znowu pocałować, pani Warner.

- Nie pozwalam... nie wolno panu...

Przytulił ją. I pocałował. Siłą woli powstrzymywał się, żeby nie całować gwałtowniej. Gdy jednak usłyszał jej ledwo dosłyszalne westchnienie, jego dobre intencje rozpadły się jak domek z kart.

- Smakujesz lepiej niż najlepsze wino. - Nie powstrzymywał się już, porzucił skrupuły.

- Panie Colton, niech pan przestanie. - Odepchnęła go, ale na krótko, bo znów ją przyciągnął i okrywał pocałunkami.

Trzymał ją blisko, żeby czuć miękkość i każde zagłębienie jej ciała. Pragnął jednego: położyć się przy niej. Molly nie знаła dotąd tego uczucia. Przestała się bać. Pożądanie zajęło miejsce strachu. Pożądanie tak silne, że mogło przyprawić o utratę rozumu.

Dłonie mężczyzny wędrowały wzdłuż jej szyi. Nie myślała nawet, żeby się opierać.

Przez chwilę przemknęło Williamowi przez głowę, żeby wziąć ją na ręce i zanieść do swojego domu, do swojego łóżka. Przycisnął ją do ściany. Oddychała coraz szybciej, policzki miała czerwone, skórę wilgotną od potu.

William odczuł dumę zwycięzcy. Chłodna wdowa kryła w sobie zaprawę ogniste pokłady namiętności.

Posiadłby ją natychmiast, gdyby nie niespodziewany zimny prysznic z innej strony. Coś sobie przypomniał. A mianowicie, że ma oto przed sobą nie dziewczkę z tawerny bynajmniej, lecz sąsiadkę, od której na dodatek chce

wykupić ziemię. Młodą ładną wdowę, kompletnie zszokowaną jego śmiałym postępkami, bowiem zapewne to, co wziął za jej namiętność, jest najzwyczajniej objawem dzikiego strachu.

Podniósł głowę i zobaczył przed sobą jej zdziwiony wzrok. Wciąż miała nabrzmiałe usta. Jej włosy rozsypały się.

- Powiedziałem, że nie jestem pijany, ale to nie do końca prawda.

- Co to znaczy? Musnął jej wargi.

- Upiłem się pani pocałunkiem. - Bawił się jej lokiem. - Jak pani na imię?

- To... - Zdumiało ją, jak łatwo przychodzą mu w tej sytuacji słowa, bo nie mogła poznać własnego zdyszanego głosu. - To nie pański interes.

- Przeciwnie.

- Dlaczego? Uśmiechnął się chłodno.

- Po tym, co się właśnie stało, byłoby osobliwe, gdybyśmy mówili do siebie: pani Warner, panie Colton. Mam na imię William.

- Zostanę przy panu Coltonie.

- Jak pani woli. A pani imię?

Przełknęła ślinę.

- Margaret, właściwie Molly.

- Molly. - Wziął jej twarz w dłonie. - Molly Warner, pasuje ci to imię.

Słodka Molly, która słodko całuje. - Opuścił grzecznie ręce i odstąpił o krok. - Życzę ci dobrej nocy, Molly. Jestem pewien, że mi się dzisiaj przyśnisz. Ty i twój ogród rozkoszy.

Zagwizdał na psa i zniknął w ciemności, zostawiając ją tam gdzie stała, nieruchomą niczym posąg. Bała się, że jeśli się ruszy, rozpadnie się jak filiżanka z najcieńszej porcelany.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zamknawszy za sobą furtkę, Molly wyruszyła do miasta. W kieszeni dźwięczały jej monety, za które zamierzała dokupić przędzę na szal Camilli Cannon.

Szła wolniej niż zwykle, miała bowiem za sobą długą bezsenłą noc. A zawdzięczała ją Williamowi Coltonowi.

Co z nim począć? - zastanawiała się. Wyzwalał w niej najgorsze instynkty. Na przykład złość, choć była z natury osobą pogodną. Ale dużo gorsza była ta... niespodziewana namiętność. Molly zaczerwieniła się na samą myśl. Wystarczył jeden pocałunek tego mężczyzny, a zaczynała zachowywać się jak jakaś lafirynda. W łóżu małżeńskim nie zaznała podobnych uczuć. Dama nie dopuściłaby do tego nawet w myślach.

William Colton przerażał ją tak samo jak doznania, które w niej budził. Modliła się, by nie musiała go nigdy więcej widzieć, bo groziło to kolejną porcją zażenowania i wstydu.

Los nic sobie jednak nie robił z jej życzeń. Tuż za nią rozległ się najpierw stukot końskich kopyt, a zaraz potem znany jej już głos. Przystanęła i ujrzała zbliżającego się do niej Williama.

- Dzień dobry, Molly. Wybierasz się do miasta?

- Tak. - Podniosła wzrok, William ściągnął konia. Molly szybko odwróciła spojrzenie, świadoma rumieńca na twarzy.

William zeskoczył i poprowadził konia za uzdę, idąc obok niej. Prezentował się doskonale, cały w czerni, z okazałym rumakiem lorda Kenta. Świeżo umyte włosy, wilgotne jeszcze, lśniły w porannym słońcu.

- A pan do pracy zapewne? Skinął głową.

- Tak. Kiedy lord Kent będzie w Londynie, czeka mnie więcej zajęć.

- Kiedy kota nie ma, myszy harczą, powiadają.

- Mnie to nie dotyczy. Nie jestem taki jak większość ludzi.

Powiedział to tak porywczo, że zaśmiała się. - Zauważyłam.

- Tak? Wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że dba pan o włości lorda jak o swoje.

- Doprawdy? I co jeszcze pani o mnie słyszała? Pochyliła głowę.

- Że ludzie się pana boją. A ci, którzy się nie boją, mają dla pana wielki respekt.

- A ty co byś wolała, Molly? Strach czy szacunek?

- Każdy człowiek chce być przede wszystkim szanowany. - Zerknęła na niego. - Czy pan się z tym zgadza?

Zawahał się.

- Chyba tak. Dlatego zacząłem uczyć Tylera czytać, pisać i rachować, żeby, kiedy dorośnie, mógł cieszyć się ludzkim szacunkiem.

- Tyler mówił mi, że zaprosił go pan wraz z jego dziadkiem, kiedy znalazł ich pan śpiących w stodole. Czy to prawda?

- W pewnym sensie. - William zmarszczył brwi. - Wyrzuciłem ich z ziemi lorda Kenta.

- Dlaczego?

- Bo taką mam pracę. Mam polecenie pozbawiać ziemi tych wszystkich dzierżawców, którzy pracują mało wydajnie.

Molly uniosła brodę zagniewana.

- Nawet jeśli dzierżawią te ziemie od pokoleń? Nie mógł kłamać.

- To nie mój interes. Mam określone obowiązki i wykonuję je. Kiedy odebrałem ziemię temu staremu, w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Dopiero po paru dniach coś mnie tknęło. Byłem na targu w mieście. Nagle poczułem, że ktoś pociągnął mnie za żakiet i zdałem sobie sprawę, że to kieszonkowiec. Jakież było moje zdumienie, kiedy okazało się, że ów złodziej ma twarz cherubina.

- To był Tyler?

- Tak. Przemknęło mi przez myśl, żeby go oddać w ręce konstabla, ale... - patrzył gdzieś w przestrzeń - coś w tym chłopcu poruszyło moje serce.

Molly dumiała tymczasem, dokąd William wędruje wzrokiem, kiedy tak się od niej oddala. Wyglądał jak nawiedzony.

- Zabrałem go więc do domu, nakarmiłem, i wtedy dowiedziałem się, że to ja odebrałem jemu i jego dziadkowi źródło utrzymania. Przekonałem chłopca, żeby zaprowadził mnie w miejsce, gdzie ukrywał się stary, musiałem co prawda przysiąc, że nie zrobię mu krzywdy. Wówczas postanowiłem przygarnąć ich do siebie.

Molly była zaskoczona opowieścią.

- Nie znał ich pan i wziął ich pod swój dach? Nie bał się pan, że pana zabiją podczas snu i okradną?

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

- Po pierwsze, nie mam nic cennego. Nic, za co warto by mnie pozbawić życia. A po drugie, wiedziałem, że Duncan Biddle jest człowiekiem honoru. No i czułem się odpowiedzialny za ich los. To przeze mnie stracili wszystko, co miało dla nich znaczenie.

- Utrata dóbr - mówiła Molly z pasją - nie musi się równać stracie ludzkich uczuć. Zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z człowiekiem przyzwoitym i prawym.

Odwrócił się ku niej.

- Tego właśnie się nauczyłem. Przystanęła.

- Postąpił pan wobec nich niezwykle szlachetnie.

William był zażenowany niespodziewanym komplementem.

- Otrzymałem od nich o wiele więcej, niż mogłem im dać. Wypełnili pustkę w moim życiu. - Zniżył głos. - Może nawet to dzięki nim stałem się znów człowiekiem.

- A co z pańską rodziną?

Pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała. Jego oczy pociemniały.

- Dla mnie nie żyją, tak jak ja dla nich.

- Cieszę się zatem, że ma pan Duncana i Tylera. Głos Williama ochrypl z emocji.

- Duncan stał się moim nauczycielem. Pokazał mi, jak należy dbać o zbiory, nauczył mnie gotować, a nawet prać.

- Nie nauczył się pan tego w młodości? Uniósł ramiona w bezradnym geście.

- Moja nauka wówczas składała się z lekcji języków obcych, matematyki, sztuki i nauk ścisłych.

Miał pan szczęście. Niewielu ludzi dostępuje takiego przywileju.

- Tak pani sądzi? Powiedziałbym raczej, że mój świat wzbogacił się znacznie, odkąd opuściłem dom mojego ojca... - Podniósł wzrok na jadący szybko wóz i wzięwszy Molly pod łokieć, odciągnął ją bezpiecznie na pobocze.

Gdy tylko ciągnięty przez konia wóz oddalił się, rozłączyli się, świadomi napięcia, jakie się między nimi wytworzyło. Oboje z ulgą dojrzeli przed sobą miejskie rogatki. Zanim każde z nich poszło własną drogą, Molly zauważyła Camille Cannon, która wyszła właśnie ze sklepu, omal na nich nie wpadając.

Kobieta obdarzyła Williama zalotnym uśmiechem, bo jak większość kobiet w mieście, nie potrafiła oprzeć się urokowi tego ponurego mężczyzny z tajemniczą przeszłością.

- Słyszałam, że lord Kent powierzył pańskiej pieczy swoje rozległe włości na czas swojego pobytu w Londynie, panie Colton.

William przytaknął.

- Cieszę się, że darzy mnie takim zaufaniem.

- Czemuż by nie? - Uśmiechała się z każdą chwilą zalotniej. - Mam nadzieję, że znajdzie pan czas, żeby zajrzeć do nas na herbatę, kiedy kuzynka mojego męża przyjedzie z wizytą?

Skłonił lekko głowę.

- Będę zaszczycony.

Zadowolona, pani Cannon zwróciła się więc do Molly:

- Pani Warner, a co tam z moją suknią i szalem?

- Wszystko dobrze, pani Cannon.

- Zdaży pani do niedzieli, jak pani obiecała?

Molly kiwnęła głową.

- Tak. Do niedzieli, jak mówiłam. Kobieta uśmiechnęła się.

- Czyż ten brzoskwiniowy kolor nie jest słodki? Musiałam sprowadzać przędzę z samego Londynu.

- Tak, jest piękny. Będzie w nim pani bardzo do twarzy. Kobieta skłoniła się wyniośle, obdarzyła Williama kolejnym uśmiechem i prędko odeszła.

William spostrzegł, że dłonie Molly drżą nerwowo.

- Ta przędza nie należała do pani?

- Nie.

Położył rękę na jej dłoni.

- Proszę o wybaczenie, Molly. Myślałem, że to próżność wywołała twoją złość na Wilka. Nie znałem prawdy.

Przełknęła głośno.

- Zarabiam na życie robótkami. Nie mam innych środków utrzymania. - Patrzyła na rząd sklepów wzdłuż głównej ulicy. - Pójdę już, może znajdę przędzę podobną przynajmniej do tej z Londynu.

- Próbowalaś uratować coś z tego, co zebrał Tyler?

- Tak - skinęła głową. - Udało mi się ją oczyścić, ale kawałki są porwane i zniszczone. Nie starczy ich na szal.

- Powodzenia zatem.

Powiedział to szczerze, uśmiechnęła się więc, mówiąc:

- Dziękuję.

Gdy odeszła, William uświadomił sobie, że ani razu nie odezwała się do niego po imieniu. Wyglądało na to, że z wdową Warner nie pójdzie tak szybko i łatwo. Zresztą to nie takie ważne, w końcu chodzi mu tylko o to, żeby zdobyć jej zaufanie na tyle, aby zgodziła się sprzedać mu ziemię.

Nie przyznałby się do innego motywu. Jego stare rany zostały już zasklepione, i drażnienie ich obecnie oznaczało tylko cierpienie. Obiecał sobie nie dać się ponownie złapać w pułapkę żadnej kobiecie.

Molly pokonywała drogę z móżdżem, niewiarygodnie umęczona, w popołudniowy skwar. Przez kilka godzin odwiedzała sklep za sklepem w Surrey i w żadnym nie znalazła odpowiedniej przędzy. Czekano ją z mądre radzenie sobie z tym, co jej zostało, i nadzieja, że Camilla Cannon nie wpadnie w zbyt wielką złość.

Ta kobieta może doprowadzić ją do ruiny. Wystarczy jedno jej słowo, a Molly nie dostanie więcej zamówień w tej okolicy. A gdyby tak się stało, musiałaby przyjąć ofertę Williama, sprzedać dom i ziemię, żeby przeżyć. Tylko gdzie by się wówczas podziała? Na co starczyłoby jej lichych pieniędzy, które mogła dostać za swą własność? Przeżyłaby za nie rok, najwyżej dwa, w jakimś obcym mieście, a potem, samotna i bez grosza, byłaby zmuszona do pracy w tawernie albo i czegoś gorszego. Ciarki ją przeszły na samą myśl.

Zbliżywszy się do domu, zdumiała się, słysząc gdzieś w pobliżu dźwięk jakby rąbiącej drewno siekiery. Czyżby ktoś ścinał jej drzewa? Przeraziła się nie na żarty.

Obeszła dom i z jeszcze większym zdumieniem odkryła, że Duncan przycina jej żywopłot, Tyler zaś ciągnie gałęzie ku ścianie jej domu, gdzie trzyma drewno na opał.

- A cóż to? Co tutaj robicie?

- Porządkujemy pani ogród.

- A dlaczego to?

- Na życzenie pana Williama. Powiedział, żebyśmy pani pomogli, jeśli znajdziemy trochę czasu.

- Ach tak? Zobaczymy.

Złość i frustracja, które gromadziły się w niej przez cały dzień, wybuchły teraz pełną mocą. Molly podciągnęła spódnicę i z wawym krokiem ruszyła przez

pole do domu Col-ona. Aha, wydaje mu się, że dość się już naczekał. Że weźmie jej ziemię z jej zgodą albo i bez niej. A zatem będzie musiał się czegoś jeszcze o niej dowiedzieć. Czeką go jeszcze jedna lekcja na temat Molly Warner. Zgodna z niej kobieta, ale nie pozwoli wchodzić sobie na głowę i robić, co się komu żywnie podoba.

Zatrzymała się przed jego drzwiami i krewko zapukała. William otworzył i długo patrzył na nią bez słowa. Wreszcie rzekł:

- Molly, cóż za niespodzianka.

- Mam dla pana niespodziankę, to prawda. - Wyrzucała porywczo słowa. - Wróciłam z miasta, i co widzę? Duncan i Tyler przycinają mój żywopłot!

Nie dał się zbić z tropu.

- Co w tym złego? Czyżby ścięli coś cennego? Stary jest bardzo ostrożny...

Uniosła dłoń, nakazując mu milczenie.

- Niczego nie zniszczyli. - Musiała to przyznać. - Sprawują się dobrze, na tyle, na ile widziałam...

- Co więc...

Uniosła brodę w postawie obronnej, którą już bezbłędnie rozpoznawał.

- I jak niby mam im zapłacić?

- Czy w tej sprawie przysłaś? A już się cieszyłem, że składasz mi sąsiedzka wizytę. - Zrobił jej miejsce. - Wejdz, proszę. Na pewno chętnie napijesz się herbaty.

- Nie chcę pańskiej herbaty. Chcę wiedzieć, jak mam zapłacić za tę nieproszoną uprzejmość.

Przesłał jej jeden z tych swoich ponurych uśmiechów.

- Wejdz, Molly. Porozmawiamy przy herbacie. Szurnęła więc koło niego i usiadła przy wypolerowanym

drewnianym stole, rozglądając się z zakłopotaniem. Zdawałoby się, że w domu trzech mężczyzn będzie choć trochę brudno i nieporządknie. A tymczasem

było tu równie schludnie, jak u niej, tyle że ten dom był w dużo lepszym stanie. Z pieca biło ciepło, ale powietrze w izbie było świeże i czyste, przyjemnie chłodziło po letnim upale na zewnątrz. Molly poczuła się potwornie zmęczona.

- I jak ci się powiodło w mieście? - William postawił przed nią parującą filiżankę, a sobie wziął drugą.

- Nie miałam szczęścia. Przejrzałam wszystkie półki we wszystkich sklepach. Nie ma tam takiej przędzy. - Sięgnęła do kieszeni i położyła nić na stole.

- Przykro mi. - William zakrył jej dłoń swoją i natychmiast poczuł znajome już dreszcze.

- Na pewno nie tak jak mnie. - Westchnęła żałośnie, po czym podniosła filiżankę i upiła łyk. - Pyszna herbata, dobrze mi robi.

- Cieszę się, że cię namówiłem. - Obserwował, jak Molly powoli się uspokaja. - A jeśli chodzi o zapłatę, o którą pytałaś... - Zauważył, że znów zmarszczyła czoło, i tym razem to on uniósł rękę. - Duncan nauczył mnie wielu rzeczy. Z jednym sobie obaj nie radzimy, nie potrafimy reperować naszych ubrań. - Ściągnął w dół rękaw, żeby pokazać jej krzywy szew. - To moja ulubiona koszula, która została relegowana do roli stroju domowego. Milczała, a zatem ciągnął dalej:

- Pomyślałem, że możemy świadczyć sobie nawzajem usługi, Molly. Twój dach wymaga naprawy, trzeba by też zadbać o twój ogród. A my z Duncanem i Tylerem mamy sporo ubrań do cerowania. Obie strony na tym zyskają, jeśli... - miał nadzieję, że jej nie obraził - będziemy sobie nawzajem pomagać.

Powoli na jej twarzy pojawił się uśmiech. A kiedy już pokazał się w całej okazałości, William odetchnął.

- To bardzo miło z twojej strony, Williamie.

Czy wypowiedziała jego imię, czy może się przesłyszał? Chciał, żeby je niezwłocznie powtórzyła, ale gdyby była to tylko pomyłka, wołał nie zwracać jej na to uwagi.

- Zgadzasz się zatem? - Wyciągnął rękę. Patrzyła na nią, a następnie wyciągnęła swoją.

- Zgadzam się.

Chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem William zaskoczył ją, unosząc jej dłoń do ust, całując jej wnętrze i każdy z palców z osobna. Zrobiło jej się znowu gorąco, próżno by jednak szukać tym razem powodu w pogodzie.

Zabrała rękę i wstała.

- Muszę już iść. Nie zdążyłam przygotować kolacji.

- Zostań z nami, mamy pieczoną gęś. Przyniosłem dziś do domu dwie ładne gąski, Duncan już się nimi zajął.

- Pieczona gęś - powtórzyła z rozmarzeniem.

- Tak. Powiem ci, że Duncanowi najlepiej wychodzi właśnie gęś. Jeśli masz zamiar zjeść z nami kolację, to tylko wtedy, kiedy gotuje Duncan. Kiedy mnie albo Tylerowi przypada dyżur w kuchni, podajemy zwykle coś, co nie nadaje się ani dla ludzi, ani dla zwierząt.

- Macie dyżury?

- Tak jest sprawiedliwie. Dzielimy się pracą.

Ależ ten mężczyzna jest zagadkowy. Jeśli plotki mówią prawdę, jest synem szlachcica. A tu proszę, nosi połatane koszule i dzieli pracę ze starcem i z chłopcem, którym uratował życie.

Molly zatrzymała się u drzwi.

- Dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę muszę wracać. - Odwróciła się jeszcze za progiem. - Zbierzcie ubrania, które trzeba naprawić, postaram się zająć nimi jak najszybciej.

Ujął w dłoń skręcony kosmyk, który głaskał jej policzek.

- Nie ma pośpiechu, Molly. Tyle czasu czekaliśmy, poczekamy, aż uporasz się z innymi zamówieniami.

Patrzył, jak Molly unosi lekko spódnicę i idzie przez pole i zdał sobie sprawę, że udało mu się osłabić nieco jej wrogość. Ale co miał zrobić ze swoimi obietnicami, o których zapominał, gdy tylko Molly znalazła się w pobliżu?

Interes to interes, pomyślał twardo. Musi zdobyć jak najwięcej jej zaufania, wtedy chętniej sprzeda mu ziemię.

Nie wolno mu tylko zwracać uwagi na jej zielone oczy. Ani dotykać jej włosów. Ani stawać zbyt blisko niej, tej czarodziejki...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na dźwięk turkoczących kół zbliżającego się powozu Wilk zerwał się sprzed kominka i zawył ostrzegawczo.

William pospieszył do drzwi przywitać gościa. Mężczyzna nie wszedł jednak do środka - w progu wymienili kilka zdań. Potem William sięgnął do kieszeni i zapłacił przyjezdnemu. Uścisnęli sobie dłonie i po paru minutach mężczyzna odszedł, a jego powóz zadudnił w ciemności po kamienistej drodze.

William rzucił okiem w stronę domu Molly. W oknie paliło się światło. Nie spała jeszcze mimo późnej pory. Zapewne pracuje, pomyślał.

- Wilk, idziemy! - zawołał.

Pies skoczył na dwór i skokami przemierzał pole, za nim stapał jego pan, nie spiesząc się tak bardzo.

Zapukawszy do drzwi Molly, William słuchał jej drobnych kroków. Drzwi uchylły się, światło wylało się na zewnątrz. Molly nie zdjęła jeszcze dziennej sukni, rozpuściła tylko włosy. W jej oczach znać było zmęczenie.

- Czy ty nigdy nie sypiasz? - zapytał żartobliwie.

- Mogłabym pana spytać o to samo. - Wypatrywała czegoś za nim w ciemności. - Co pan tu robi?

- Przyszedłem cię zobaczyć. Mogę wejść? - Widząc jej wahanie, dodał: - Tylko na moment.

Zrobiła mu miejsce. Ustąpiła tyle tylko, że otarł się o nią, przechodząc. Chwilami, zwłaszcza późnym wieczorem, pragnął jej aż do bólu.

Rozglądał się po jej zadbanej izbie.

- Jak tam suknia dla pani Cannon?

- Wygląda wcale nieźle. - Wskazała na materiał rzucony na szezlong. - Prawie gotowa. Jeszcze tylko kilka szwów. - Westchnęła. - Obawiam się jednak, że szal jej się nie spodoba.

- Może to ci pomoże. - Wyjął z kieszeni motek blado-brzoskwiniowej przędzy.

Molly szeroko otworzyła oczy i patrzyła bez słowa, zasłoniwszy usta dłońmi. Gdy odzyskała już głos, wyszeptała:

- Skąd pan to wziął?

- Dowiedziałem się, że jeden z prawników lorda Kenta jedzie do Londynu i poprosiłem go o przysługę.

Molly kręciła głową z niedowierzaniem.

- Ale skąd on wiedział, jaki to kolor?

- Dałem mu kawałek nitki, którą zostawiłaś na moim stole.

- Nitki...?

Wzruszyła się i łzy popłynęły jej po policzkach. Odwróciła głowę, zawstydzona. Spóźniła się, William już je zobaczył i poruszony przytulił ją.

- Nikt nie okazał mi tyle dobroci. - Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jestem więc podwójnie zadowolony. Że jestem pierwszy i że mam okazję powetować w ten sposób straty poczynione przez mojego nikczemnego kundla.

- A więc to jednak pański pies?

- Na to wygląda. - Łzy Molly zmoczyły mu koszulę. Rzekł cicho: - Czy mam rozumieć, że zyskaliśmy twoje przebaczenie?

- Nawet więcej. Jestem teraz pańską dłużniczką, Williamie. Nie wiem, jak się panu odwdzięczę.

Palcem wycierał jej łzy.

- Molly, już mi się odwdzięczyłaś. Twój uśmiech jest najlepszą zapłatą.

Patrzył jej w oczy i ogarnął go przyływ czułości. Bał się odezwać, bał się nawet oddychać, żeby nie zepsuć tej szczególnej chwili. Porzucił zatem słowa. Pocałował ją. Chciał podnieść ją i wirować z nią w kółko, aż zakreśliłoby im się w głowach. A najbardziej pragnął pocałować ją po raz drugi. I jeszcze raz. I jeszcze.

Przyszło mu na myśl, że łatwo mogliby się zapomnieć, nie miał jednak żadnego prawa wykorzystywać bezbronnej kobiety.

Odsunął się więc i palcem wskazującym uniósł jej brodę.

- Obiecuj mi coś, Molly.

- Co?

- Obiecuj - zaczął znów - że zaraz pójdziesz do łóżka i odłożysz wszystkie troski na później. Masz jutro cały dzień, żeby zająć się szalem Camilli Cannon.

Przez twarz Molly przemknął uśmiech, ciepły i przyjazny.

- Dobrze, obiecuję. Dzięki panu, Williamie, będę dziś spać spokojnie.

- Grzeczna dziewczynka. - Czuł, że najbezpieczniej dla nich obojga będzie, jeśli jak najszybciej ochłodzi go nocne powietrze.

- Dobrej nocy, Molly.

Nie poruszyła się, świadoma zapewne, że mogli przekroczyć granicę, której przekraczać nie powinni.

- Dobranoc, Williamie.

Starannie zamknął za sobą drzwi. W drodze powrotnej do swojego domu przeklinał się i wyzywał od największych głupców. Zdobyłby Molly bez żadnego wysiłku. Wiedział jednocześnie, że postąpił z honorem, nie życzył sobie, aby Molly myliła wdzięczność z czymś zupełnie innym.

Miłością? - pomyślał. Co za nonsens. Nie czuł nic poza pożądaniem, zupełnie uzasadnionym w jego sytuacji. Żył na co dzień bez kobiety, i to od dawna.

Najlepiej będzie, zdecydował, wybrać się następnego wieczoru do tawerny. Tamtejsze kobiety nie mają żadnych złudzeń, a ich pragnienia ograniczają się do złota. Im bliżej jednak znajdował się domu, tym bardziej był przeświadczony, że dziewczka z tawerny nie zaspokoi go tak, jak mogłaby to zrobić piękna wdowa Warner. Pragnął Molly i nikogo innego.

- Dobry wieczór, Duncanie. Witaj, Tyler.

Molly szła z tacą ku ogrodowej ławce. Na tacy leżały cienkie plastry wołowiny, talerz z ciasteczkami oraz miseczka z dżemem i czajnik z herbatą.

Stary i chłopak natychmiast odłożyli narzędzia.

Stało się to ich rytuałem. Gdy tylko znajdowali czas, żeby u niej popracować, zatrzymywała ich na południowy posiłek. Przywykli do prostego jedzenia, Duncan i Tyler nie mogli się nachwalić przed Williamem kuchnią wdowy Warner. Nikt, wynikało z ich opowieści, nie piecze tak kruchych ciastek. Nikt w całej Anglii nie potrafi tak doskonale przyrządzić wołowiny. Najzwyklejsza herbata i dżem doczekały się takich komplementów, że William w końcu uniósł ręce poirytowany.

- Wkrótce - krzyknął - powiecie mi, że jej woda pochodzi z samego nieba!

- To możliwe - odparł Duncan z uśmiechem. - Jest chłodniejsza, kiedy podaje ją na tacy w ogrodzie.

Wrócili do domu z pochwałami i koszykiem pocerowanej odzieży. Powoli dowiadywali się o Molly różnych rzeczy, ze słów i zdań, które jej się wymykały podczas tych południowych sjest. Na przykład, że jej mąż był niezłym łajdakiem. Że zmarł młodo, zostawiając ją na łasce losu. Że wróciła do Surrey opiekować się ojcem w czasie jego długiej i ciężkiej choroby, i że w końcu i on ją opuścił, a jej został tylko niewielki kawałek ziemi i nieduży dom.

- Myślisz, że zechce to sprzedać? - spytał William Dun-cana.

Stary spojrział przez stół i zmarszczył brwi.

- A gdzie by się wtedy podziała? William wzruszył ramionami.

- Nie ma rodziny?

- Słowem nie wspomniała.

- Może zapytaj ją następnym razem, jak sobie znów urządzą przyjęcie w ogrodzie.

Stary podniósł głowę, bezbłędnie wyczuwając sarkazm w tonie Williama. Obaj, Duncan i Tyler, nie daliby skrzywdzić teraz wdowy. Jak Wilk, który przywykł leżeć u jej stóp, prosząc się o to, żeby go pogłaskała po łbie.

- Może ją pan sam zapytać.

- Ciekawe kiedy?

- Jutro na ten przykład. Będziemy kłaść nową strzechę na jej dach. Przyda nam się jeszcze para rąk do roboty.

William ponownie wzruszył ramionami.

- Zastanowię się. Może uda mi się znaleźć parę godzin, lord Kent nie wzięłby mi chyba za złe.

Stary oddalił się, uśmiechając pod nosem.

Następnego ranka trzech mężczyzn szło przez pole do sąsiedniego domu, w którym mieli wymienić strzechę. Molly wracała akurat z koszykiem czarnych jagód.

Wyglądała tak ładnie i świeżo, że William przez całą minutę nie potrafił znaleźć słów. Duncan i Tyler rozmawiali z nią jak starzy znajomi, a on stał i patrzył. Lekki wiatr rozwiewał jej włosy i przyklejał do nóg spódnice. W jej źrenicach odbijało się poranne słońce. Nie mógł pojąć, skąd jedna mała kobietka bierze tyle uroku, i to bez żadnego wysiłku.

I czemu nagle wydaje mu się taka piękna? Przecież ma wciąż na sobie tę samą niezgrabną suknię, którą nosi codziennie, choć zapewne każdego wieczoru ją pierze. Buty Molly były schodzone i brzydkie. Jej fartuch z głębokimi

kieszeniami składał się z sumiennie pozszywanych łąt. Za to jej uśmiech mógł konkurować ze słońcem.

- Dzień dobry, Williamie - zwróciła się do niego z owym uśmiechem, stanąwszy u drzwi. - Jak to się stało, że nie nadzorujesz dzisiaj gospodarstwa lorda Kenta?

- Pomyślałem, że przyda im się pomoc. Najwyższy czas, żebym nauczył się robić dach.

- Nie znalazłbyś lepszego nauczyciela. - Przesłała tym razem uśmiech Duncanowi. - Duncan nieustannie mnie zadziwia, potrafi chyba wszystko.

- Tak - wtrącił Tyler, zdejmując starą słomę z dachu.

William dołączył do starego, który odbierał z góry słomę. Po chwili, idąc za wskazówkami Duncana, sam zaczął ściągać fragmenty starej pokrywy dachu i rzucać je na ziemię, gdzie Tyler tym razem zbierał je i układał na stos przeznaczony na rozpałkę w czasie zimowych miesięcy.

Kiedy dach został już pozbawiony starego pokrycia, mężczyźni zeszli na dół i powiązali świeżą słomę, wciągając ją następnie na górę. Ta część pracy była o wiele trudniejsza, wymagała mnóstwo cierpliwości, bo należało zabezpieczyć dach przed wiatrem, deszczem i innymi kapryсами pogody.

Podczas pracy dochodziły ich z wnętrza domu zupełnie niezwykle zapachy. A gdy dzwon kościelny wybił południe, otworzyły się drzwi i pokazała się w nich Molly z przykrytą kawałkiem lnianego płótna tacą, którą zaniósła na ławkę w ogrodzie.

- Mam nadzieję, że jesteście głodni - zawołała - bo zrobiłam... - Jej głos urwał się na widok Williama na szczycie jej dachu.

Dzień był skwarny, William ściągnął koszulę, na jego ciele połyskiwały krople potu. Kiedy zeskoczył na dół i stanął przed nią, zamurowało ją po prostu.

Jego twarz przeciął szeroki uśmiech.

- O co chodzi?

- Ja... przyniosłam miskę zimnej wody do mycia.

- Aha. - Nachylił się, namydlił ręce, ochlapał wodą twarz i głowę. Nie chciał brudzić czystego płótna, które położyła obok, sięgnął zatem po swoją koszulę, wytarł się nią i włożył ją na siebie.

- Coś smakowicie pachnie.

- Wołowina z warzywami. - Obserwowała, jak William zapina koszulę i wkłada ją do spodni. Wilgotny materiał przylepił się do jego piersi. - Dla każdego po kawałku. Ciężko pracujecie, musicie umierać z głodu.

- Wielkie dzięki. - Duncan, który zauważył, jak Molly patrzy na Williama, umył się i odszedł na bok, żeby zrobić miejsce swojemu wnukowi. - Nie skłamię, jak powiem, że zawsze czekamy na to, co pani przyrządzi, i ten młody człowiek też to potwierdzi.

- Na pewno nie jest to tyle warte co wasza pomoc, Dun-canie. - Pokazała na dymiące mięso, a każda porcja była tak duża, że starczyła za przyzwoity posiłek.

Mężczyźni zabrali się do jedzenia. Molly naląła im wody do popicia. Duncan zamknął oczy, żując mięso z letnimi warzywami w gęstym tłustym sosie.

- Jeśli anielska kuchnia nie dorównuje paninej, za nic nie pójdę do nieba.

Śmiech Molly rozdzwonił się w rozgrzanym powietrzu.

- Duncanie Biddle, chyba się nie mylę, że próbujesz mnie zaczarować.

- Nie, proszę pani, to najprawdziwsza prawda. To najlepsza strawa, jaką jadłem w życiu. - Odszukał wzrokiem wnuka. - Co powiesz, chłopcze?

Chłopiec był tak skupiony na pochłanianiu jedzenia, że nie mógł przemówić. A gdy wreszcie udało mu się przełknąć, pokiwał głową.

- Tak, dziadku. I ja nic tak smacznego nie jadłem. Jak zjem to wszystko, będę pewnie graby jak pani Sloan.

Molly roześmiała się ponownie.

- No to nie powinnam w takim razie przynosić ciasta z owocami.

Chłopiec szeroko otworzył oczy.

- Jest ciasto z owocami? Przytaknęła.

- Myślisz, że zmieściłbyś jakiś cienki plasterk ciasta, Tyler?

- Tak, proszę pani, zmieszczę na pewno.

Nie spuszczał z niej wzroku, czekał, aż wróci z tacą, na której tym razem leżały trzy grube kawałki owocowego placka. Takich grubych jeszcze nie widział. Był do tego dzbanek herbaty.

- Obawiam się, że opróżnimy pani całą spiżarnię. -Duncan nalał sobie herbatę i oparł się o pień karłowatego drzewa, powoli delektując się deserem.

- Ależ skąd. Proszę się o to nie martwić. Wasza praca jest dużo cenniejsza. - Molly napełniła herbatą filiżankę Williama i poczuła rumieńce na policzkach, kiedy podniosła na niego oczy.

Siedział na trawie, jedną ręką obejmował zgiętą w kolanie nogę, w drugiej trzymał filiżankę. Słońce walczyło z cieniem o jego twarz.

- Mój dach - zaczęła Molly, żeby oderwać od niego myśli - od lat przeciekał. Nie stać mnie było na to, żeby wynająć kogoś do pracy, a teraz, dzięki waszej wspaniałomyślnej pomocy, nie boję się nawet najsrozszej zimy.

- Trudno myśleć o zimie w taki piękny dzień. - Duncan przenosił spojrzenie z Molly na Williama i z powrotem, zastanawiając się, czy którekolwiek z nich było świadome, co widział w ich oczach. Wyglądało na to, że jego młody przyjaciel, choć może jeszcze tego nie wie, przeżywa przełomowe w swoim życiu chwile.

Stary dopił herbatę i podniósł się z trudem.

- Czas wracać do roboty.

William posłuchał go niechętnie.

Teraz, gdy sam wziął udział w ogrodowym przyjęciu wdowy Warner, musiał przyznać, że Duncan miał rację. A tak się z niego wyśmiewał! Molly jest rzeczywiście genialną kucharką i aniołowie z pewnością przegraliby z nią w tej konkurencji. William czuł się po prostu świetnie, niezależnie od letniego skwaru i ciężkiej pracy.

Molly Warner ma tę rzadką zdolność, pomyślał, że nawet najcięższy powszedni trud zamienia się przy niej w kawałek nieba.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Co to jest? - William podniósł wzrok znad stołu, na którym pisał właśnie kolumny cyfr w jednej z ksiąg lorda Kenta.

Duncan stał za nim, trzymając w ręce ciemny żakiet, który wyglądał tak czysto, jakby był nowy.

- Powiesiłem go na gałęzi i wyczyściłem. Zda mi się, że będzie pan chciał dzisiaj dobrze wyglądać.

- Dobrze wyglądać? A po co? Stary uśmiechnął się.

- Panienka musi dzisiaj iść do miasta na ranną mszę, i będzie dźwigała na ramieniu ciężki kosz.

William zaczął coś podejrzewać.

- Rozumiem, że zgłosiłeś mnie do pomocy.

- Nic tam specjalnie nie gadałem. Ale ja... - stary uśmiechnął się zawstydzony - ja powiedziałem tylko, że może zechce pan pomóc.

- A czemu to sam nie pomożesz? Duncan potarł kolano.

- Pomógłbym, a jakże, tylko ta dodatkowa robota dała się we znaki moim starym kościom.

- Aha. Bardzo dobrze. - William pozwolił Duncanowi włożyć sobie żakiet. Spojrzał tęsknie na księgę rachunkową. Zatrzymawszy się w drzwiach, zobaczył, że chłopiec i stary jakoś dziwnie na niego patrzą.

- Jeśli usłyszycie, że dach kościoła zawalił się, będziecie wiedzieć dlaczego. Nie wiem, czy Surrey jest na to przygotowane.

- Na pewno się panu uda, sir. - Utykając, Duncan podszedł do drzwi i odprowadzał wzrokiem Williama, który kierował się w stronę domu Molly. Po chwili całkowicie zapomniał o bólu nogi.

- Chodź, chłopcze. Weźmiemy Wilka na spacer do lasu, niech się wyhasa. I weźmy koszyk, na wypadek, gdyby dało się gdzie wypatrzeć jakie jagody.

- William? - Molly nie ukrywała zdumienia, widząc go na progu. -

Wybieram się akurat do miasta.

William wziął kosz z jej rąk.

- A ja właśnie mam ochotę na przechadzkę. - Podniósł wzrok. Promienie słońca wyglądały zza wysokich rozczapierzonych chmur. - Zapowiada się piękny dzień.

Molly zamknęła drzwi i z jeszcze większym zdziwieniem, a także z szerokim uśmiechem, przyjęła jego ramię.

- To prawda - rzekła.

William przyglądał się umieszczonym w koszyku pakunkom, które dla ochrony przed kurzem wiejskiej drogi zawinięte były w białe lniane płótno.

- Zadowolona jesteś z sukni i z szala?

- O tak. Nawet więcej niż zadowolona. Mam tylko nadzieję, że pani Cannon podzieli moje uczucia.

- Jakżeby mogło być inaczej? - Zamknął jej dłoń w swojej. - Czy znajdzie się w całym Surrey druga kobieta, która włada igłą tak biegle jak ty?

- Nie. Miałam dobrą nauczycielkę. Ale życie pokazało mi już, że sukces niekoniecznie przychodzi do tych, którzy są w czymś najlepsi, wybiera raczej tych, którzy mają największe wpływy.

William też coś o tym wiedział. Doświadczył tego na własnej skórze. Gniewny edykt ojca zamknął przed nim wiele drzwi. I wielu znalazło się w Anglii takich, którzy uwierzyli, że wydziedziczony syn lorda musi być draniem.

Odsunął od siebie przykre myśli.

- Pani też nie brak wpływów, droga pani Warner - zażartował. -

Wystarczy spojrzeć na Duncana i Tylera, i posłuchać, jak wyśpiewują na twoją cześć hymny pochwalne. Że nie wspomnę o Wilku, który, jak mi powiedziano, stał się twoim podnóżkiem. - Nachylił się ku niej. - Kobieta, która potrafi obłaskawić mężczyznę i dzikie zwierzę, zasługuje na największą admirację, moja pani.

- Och, Williamie, gdybym tylko mogła ci wierzyć. - Zaśmiała się zadowolona. - Kiedy jestem z tobą, daję niemal wiarę tym fantazjom.

- Zaufaj mi. Najlepszym dowodem słuszności moich słów jest twój obecny towarzysz. Nie przypuszczasz chyba, że traciłbym przedpołudnie w kościele, gdyby nie twoja osoba?

Śmiali się oboje serdecznie, aż dotarli do domu Camilli Cannon. A należał on do najznakomitszych w całym Surrey.

William zamierzał poczekać na zewnątrz, nie potrafił jednak rozstać się z Molly ani na chwilę. Szedł więc u jej boku ścieżką do drzwi i po schodach. Służący wprowadził ich do środka i zaprowadził do wielkiego pokoju, gdzie usiedli, czekając na panią tego domu.

Camilla Cannon zeszła na dół lekkim tanecznym krokiem, a gdy spostrzegła Williama, Molly przestała dla niej istnieć.

- Mam nadzieję, że znaczy to, iż przyjął pan zaproszenie na herbatę w przyszłym tygodniu.

Na twarzy Williama trwał przyklejony uśmiech, choć przyznać trzeba, że kosztowało go to trochę wysiłku - kompletnie zapomniał o zaproszeniu.

- Będę zaszczycony. Kiedy przyjeżdża pani kuzynka?

- Odbierzemy ją z mężem po drodze w połowie przyszłego tygodnia. - Zdezorientowana dostrzegła wreszcie Molly. - Czy państwo przybyli razem?

Molly zaczerwieniła się.

- Można tak powiedzieć. Spotkałam sąsiada po drodze. Camilla przyjęła wyjaśnienie i z nadzieją patrzyła na koszyk.

- Czy to może moja suknia i szal, Molly?

- Tak, pani Cannon. - Molly odwinęła najpierw suknię i rozłożyła ją w całej okazałości.

William od razu zobaczył w oczach Camilli zachwyt i podziw dla pięknej rzetelnej roboty.

- A szal?

Molly z dumą odwinęła drugi pakunek. Tym razem nawet William oniemiał.

- O mój Boże! - Camilla dotknęła miękkiego szala, który wyglądał jak utkany jakąś anielską ręką. - Molly, to po prostu nadzwyczajne. - Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła stamtąd kilka monet, które wręczyła Molly. - Nie mogę się doczekać, kiedy wszyscy mnie w tym zobaczą! Mam nadzieję, że zrobisz dla mnie coś jeszcze.

- Z przyjemnością, pani Cannon, jeśli pani zechce.

- Nie będziesz długo czekać na kolejne zamówienie. - Pani Cannon przeniosła wzrok na mężczyznę. - A wracając do naszej rozmowy, wyślę do pana służącego z informacją o dniu i godzinie spotkania.

William skinął głową.

Camilla Cannon nie mogła oderwać się od swoich nowych strojów. Nie zauważyła nawet, kiedy lokaj wyprowadził gości z pokoju.

Kiedy znaleźli się za drzwiami, Molly policzyła pieniądze i spojrzała na Williama uradowana.

- A nie mówiłem, że jej się spodoba? Kiwnęła głową.

- Nie uwierzyłam. Przystanął, ujął jej dłonie.

- Teraz mi wierzysz?

- Tak. - Zamknęła na moment oczy z wielką ulgą.

Przez dwa tygodnie nie będzie musiała martwić się o jedzenie, a wkrótce starczy jej oszczędności, żeby spłacić ojcowskie długi.

Powoli wchłaniał ich tłum spieszących do kościoła kobiet i mężczyzn.

William wyszeptał, przechylając głowę ku Molly:

- A może wolisz uczcić swój sukces? Zamiast iść na mszę, moglibyśmy poszukać jakiejś przytulnej gospody.

- Williamie! - oburzyła się. - Muszę podziękować Bogu za dobrodziejstwa, a potem ewentualnie świętować.

- A to dlaczego? - Przytulił wargi do jej skroni. - Boisz się, że dobry los cię opuści?

Zaczerwieniła się.

- Może trochę...

Pożałował niewczesnego żartu. Molly zaznała już dosyć nieszczęścia.

- Chcę podziękować, Williamie.

- No to w porządku. - Odwrócił się w stronę świątyni, nie wypuszczając jej dłoni. - Najpierw się pomodlimy, a potem wzniesiemy toast dobrą herbatą.

- Nie smakuje ci herbata? - William dotknął ręki Molly, ona zaś wbiła wzrok w filiżankę, jakby dało się odczytać coś z jej dna.

Gwałtownie podniosła głowę.

- Ależ nie, bardzo mi smakuje. - Podniosła filiżankę do ust i wypła łyk. - Rozgrzewa aż po czubki palców. - Tak jak jego dotyk, pomyślała.

- Coś cię jednak trapi. Potrząsnęła głową.

- Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłam poza domem. Miałam wtedy ze trzynaście lat, ojciec gdzieś mnie zabrał. Czułam się wyróżniona i ważna, i taka dorosła. - Uśmiechnęła się. - Teraz też tak się czuję.

- Jesteś ważna, Molly. Policzki pokrył jej rumieniec.

- I mamy wyjątkowy dzień.

- Jak to?

I on się uśmiechnął.

- Jeśli można wierzyć wyrazowi twarzy Camilli Cannon, powiedziałbym, że już wkrótce twoje zręczne dłonie staną się sławne i zostaniesz okrzyknięta najlepszą krawcową w Surrey. Nie będziesz się mogła opędzić od klientek, pragnących olśnić swoich sąsiadów i bliskich.

- Piękne marzenie. - Patrzyła gdzieś nad jego głowę.

- Te pieniądze, które dzisiaj zarobiłam, po dodaniu do moich skromnych oszczędności, pozwolą mi niedługo spłacić długi ojca, i nie będę się już musiała obawiać, że konstabl wyrzuci mnie na bruk.

- O czym ty mówisz?

Odwrociła wzrok, nie miała zamiaru się zwierzać. Dotknął jej policzka.

- Molly, o czym ty mówisz? Dlaczego konstabl miałby pozbawiać cię domu?

Westchnęła, wodząc palcem wokół brzegu filiżanki, unikając wzroku Williama.

- Kiedy ojciec zachorował, nie mogłam jednocześnie opiekować się nim i pracować. Jego skromne oszczędności szybko się wyczerpały. Musiałam udać się do lorda Bowersa, który jest właścicielem ziemi graniczącej z moją ziemią od południa. Bowers pożyczył mi pieniądze na rok, a jeśli go nie spłacę, zabierze mi moją własność.

- Ile czasu ci zostało?

- Termin już minął, ale to szlachetny człowiek. Powiedział, że dopóki nikt inny nie zechce mnie spłacić, żeby zabrać mi ziemię, on da mi tyle czasu, ile będzie mi trzeba.

- Dotknęła schowanych w kieszeni monet. - Żyłam oszczędnie, i dalej będę do tego zmuszona, ale przynajmniej nie stracę tego, co do mnie należy.

- Masz zatem naprawdę co świętować. - William zawołał obsługę i zamówił piwo.

Nie przejął się protestami Molly i kiedy przyniesiono im napitek, stuknął się z Molly szklanką i patrząc jej w oczy, rzekł:

- Za twoje dziedzictwo. Wypili oboje.

- Powiedz mi - zbliżył się do niej - gdybyś mogła spełnić jedno marzenie, co by to było?

Molly spojrzała w bok, William odwrócił jej twarz ku sobie.

- Będiesz się śmiać - powiedziała.

- Obiecuję, że nie. Co więcej, powiem ci moje. Zobaczyła swoje odbicie w jego niebieskich oczach. Nie wiedzieć czemu ten mężczyzna budził w niej zaufanie, zdradziła mu zatem coś, co dotąd trzymała w tajemnicy.

- Gdyby wolno mi było mieć tylko jedno marzenie, chciałabym wybrać się w podróż do Nowego Świata.

William zdumiał się.

- Zdobyłabyś się na ryzykowną podróż do Ameryki? Przytaknęła.

- Wiem, że to głupie. Ale słyszałam, że pochodzenie o niczym tam nie przesądza i nawet najniżej urodzeni osiągają wielkie rzeczy. Obywatele tego odległego kraju mają za nic szlachectwo. Każdy, nawet ten, kto przybywa w niesławie, zyskuje tam szansę na nowe życie. - Oczy jej lśniły, mówiła z taką pasją, że nieświadomie dotknęła go ręką. - Pomyśl tylko. Każdy jest tam sądzony nie za przeszłą chwałę czy błędy przeszłości, ale za to, jak żyje od chwili, gdy postawił stopę na tej błogosławionej ziemi.

William obdarzył ją łagodnym uśmiechem.

- Myślisz, że Ameryka jest świętym miejscem?

- A jak inaczej nazwiesz krainę wolności? - Spuściła wzrok na stół. - Pewnie uważasz, że oszalałam.

- Nie. - Ujął jej dłoń i w nagrodę ujrzał w jej oczach najczystsze zdumienie. - Muszę przyznać, Molly, że nie myślałem wiele o tej dalekiej ziemi za morzem. Przez ostatnie lata starałem się sobie udowodnić, że moje życie jest coś warte.

- Każde życie jest coś warte, Williamie.

Poczuł, że wcale niepotrzebne mu piwo, wystarczy obecność tej mądrej kobiety.

Gospoda zapełniała się, a mimo to William słyszał tylko głos Molly, wibrujący radością. Wiele rozmaitych twarzy przesuwało się na linii jego wzroku, lecz on dostrzegał jedynie jej twarz, obezwładniająco piękną.

Dawno już nie czuł się tak dobrze i swobodnie. A tak było od pierwszej chwili, gdy usiedli przy stole, żartowali i powierzali sobie nawzajem swoje tajemnice.

Gdy ich kufle opróżniły się do dna, odprowadził Molly do domu, nie zauważwszy nawet, że zrobiło się popołudnie.

- Kiedy minął ten dzień?

- Pojęcia nie mam, Williamie, ale minął zbyt szybko.

- To prawda. - Ze względu na towarzystwo, pomyślał i nagle puścił jej dłoń. - Zaczekaj tu.

Stała jak wryta, patrząc na Williama, który zostawił ją na skraju drogi i rzucił się zbierać polne kwiaty. Kiedy zebrał ich już całe naręczce i więcej nie mógł udźwignąć, wrócił i wręczył jej bukiet.

- To naprawdę dla mnie?

Nie było na świecie w owej chwili nic tak cennego jak wyraz jej oczu. Przez kilka niezauważalnych sekund Molly patrzyła na kwiaty, a potem, żeby ukryć łzy, schowała w nich twarz, zaciągając się ich zapachem.

William był szczęśliwy jak nigdy. Tuż przy wejściu do jej domu przyciągnął ją, nie zważając na to, że gniecie bukiet, i pocałował.

- Williamie! Jeszcze dzień, ktoś może zobaczyć.

- A niech sobie patrzą - oznajmił, całując ją po raz wtóry, dla równowagi. I stałby tam najchętniej do zmierzchu, do wieczoru, do nocy, nie odrywając od niej ust. - Do widzenia, Molly.

- Do widzenia, Williamie.

Odszedł wreszcie, czując, że mógłby skakać przez wszystkie płoty po drodze. Że przeskoczyłby niejedno drzewo. Wciąż miał w nozdrzach zapach polnych kwiatów, a na ustach smak warg Molly, świeży i rześki jak strumień w lesie.

Wróciwszy do domu, zastał Duncana i Tylera z rękami granatowymi od jagód.

- Jak minął dzień? - Stary wstał, żeby dołożyć do pieca. Wówczas William zdał sobie sprawę, że Duncan jakimś cudownym sposobem przestał kuleć. Nic jednak nie powiedział, był w tak dobrym nastroju.

- Dzień udał się wyśmienicie - rzekł, zdejmując zakiet i podwijając rękawy koszuli, postanawiając wieczór poświęcić księgom rachunkowym lorda Kenta. W innym razie mógłby jeszcze zająć do Molly, a gdyby tak zrobił, mógłby się w porę nie zatrzymać. Musiałby pewnie spróbować nie tylko jej warg. Ta wewnętrzna konieczność rosła w nim z każdą chwilą i powolutku doprowadzała go do obłędu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

William zamknął księgę rachunkową i zgasił świeczkę. Był zadowolony, że zdołał się skoncentrować, choć myśl o Molly nie opuściła go ani na moment przez cały wieczór. Pojął wreszcie, dlaczego jej ubrania są tak znoszone, mimo iż Molly jest świetną krawcową. Zakup choćby najtańszego materiału uszczupliłby jej mizerne, a tak dla niej cenne oszczędności, każdy uciulany grosz pozwalał jej pogodniej patrzeć w przyszłość.

Potem William uświadomił sobie coś jeszcze. Molly ma swoją dumę i nie przyjąłaby pomocy, gdyby nie mogła za nią jakoś odpłacić. A zatem pomoc, jaką William zaofiarował jej w osobach Duncana i Tylera, musiała ją słono kosztować. Odłożyła inne zamówienia, żeby poświęcić się reperacji ich ubrań. I zapewne musiała do cna opróżnić swoją spiżarnię, żeby ich wykarmić.

Niemądra kobieta, pomyślał, zaciskając pięści. Jakie jeszcze ofiary poniosła, byle tylko zachować pamiątkę swojego dzieciństwa? Ile nocy nie przespała, aby spłacić długi zmarłego?

To duma ją do tego doprowadziła. Kiedyś sam był podobny, lecz później zdał sobie sprawę, że to, co uważał za dumę, było zwyczajną arogancją. Musiał stracić wszystko, co uważał niegdyś za ważne, by zrozumieć, co naprawdę liczy się w życiu: szacunek dla siebie i kilku oddanych przyjaciół.

Z sąsiedniego pokoju doszło go chrapanie. Uśmiechnął się. Duncan i Tyler położyli się zaraz po zmroku. Tak wiele im zawdzięczał. Stanowili teraz jego rodzinę. Zaczął dzięki nim doceniać cudze głosy w swoim domu: śmiech,

żarty, przekomarzania. Miał powód, żeby co rano wstawać z łóżka. I powód, żeby wracać do domu wieczorami.

Dzięki nim miał prawdziwy dom. Pragnął jednak wciąż czegoś więcej.

Pragnął Molly.

Gdyby mógł spędzić z nią jedną noc, złagodziłby swój ból. Potem mógłby już cieszyć się swoim sukcesem i bogactwem i iść dalej przez życie.

Stanął przy drzwiach, przerywając wędrówkę po pokoju. I znów pomyślał o Molly, o tym, jak to jest trzymać ją w ramionach. Zakręcił się na pięcie i zaczął liczyć kroki, od drzwi do stołu i z powrotem. Obraz Molly nie chciał go opuścić, wszystkie sztuczki zawodziły.

Przeklinając w duchu, pchnął drzwi i wyszedł na powietrze. Zaraz zjawił się u jego boku Wilk, wybiegł, po czym zatrzymał się i wciągał w nozdrza zapachy nocy.

William spojrzał na dom Molly, mając nadzieję, że w oknach będzie już ciemno. Pomogłoby mu to wybić sobie z głowy głupstwa.

Niestety, w oknie wdowy drgał płomyk świeczki. Jakby nie mogła tego jednego wieczoru zachować się rozsądnie i iść spać o przyzwoitej porze! A on? Zwariuje przecież podczas tego nocnego spaceru.

Już miał zawracać, kiedy Wilk rozszczękał się jak szalony i puścił się pędem przez pole. William ruszył za nim, bardziej zdziwiony niż zaniepokojony.

- Przekłęte stworzenie! - mruczał. - Obudzi całe Surrey tym jazgotem.

Pies rozpląnął się w ciemności, jego szczekanie dobiegało z oddali, William przystanął i zaczął się rozglądać. Czyżby Wilk rzeczywiście pobiegł do Molly?

Podniósłszy wzrok, dojrzał jakąś ciemną mgłę, która unosiła się nad dachem Molly. Uznał to za złudzenie optyczne. Musi to być po prostu mgła, tłumaczył sobie. Kiedy jednak, nie odrywając wzroku, widział wciąż to samo, wstrzymał oddech. To nie mgła. To dym.

- Pożar! - krzyknął, i jeszcze raz, głośniej: - Pożar! Duncan! Tyler!

Przerażony, rzucił się przez pole, cały czas wzywając pomocy. Gdy dobiegł do domu Molly, powietrze było gęste od unoszącego się z płonącego drewna dymu. Wyważył drzwi, a Wilk przemknął obok niego prosto do Molly.

Wydawało się, że okrażają ją płomienie. Kiedy jednak oczy Williama przywykły do ognia, zobaczył, że to płonie dywanik pod jej stopami, Molly zaś próbuje ugasić go za pomocą pledu. Uderzała z jednej strony, a z drugiej niemal natychmiast wybuchał nowy płomień.

William odepchnął ją i ciągnął dywan na dwór, nie zważając na płomienie, które parzyły go i lizały jego koszulę. Potem czym prędzej wrócił i zaczął walczyć z ogniem, który wspinał się po firankach i wzdłuż jednej ze ścian.

- Uciekaj, Molly! - rozkazał. - Uciekaj stąd, tu jest niebezpiecznie.

- Nie, nie mogę. - Wzięła wiadro z wodą i chlusnęła nią na palącą się zasłonę.

Wtedy przybiegli Duncan i Tyler, ubierając się po drodze. Duncan bez słowa zgarnął kapę z sofy i z jej pomocą tłumił ogień na podłodze i na ścianie.

- Potrzeba nam więcej wody, Tyler! - krzyknęła Molly. Chłopak chwycił puste wiadro i wybiegł, wracając zaraz z pełnym po brzegi wiadrem, które podał Molly.

Powtarzali to w nieskończoność, aż w izbie nie pozostał ani jeden tłący się ognik. Widok był przerażający. Ściany i sufit były osmalone. Zasłony, drewniany stół, fotel bujany - nie nadawały się już do naprawy.

Wyszli na zewnątrz, chrząkając i kaszląc, i usiedli na trawie.

- Jak to się stało? - spytał Duncan, krztusząc się.

- Zasnęłam nad robotą. Pewnie suknia dotknęła świecy.

- Dobry Boże. - William chwycił ją za rękę. - Mogłaś zginąć.

Uśmiechnęła się słabo.

- Nic mi nie jest, Williamie, bardzo wam dziękuję. - Spojrzała na ręce Williama. Były usmarowane sadzą, ale też poparzone. - Och nie, spójrz, co sobie zrobiłeś.

- To nic. - Schował dłonie i wstał. - Nie możesz tu zostać na noc. Pójdiesz do mnie.

Potrząsnęła głową, podnosząc się przy jego pomocy.

- Nie, nie mogę tego zostawić.

- A niby dlaczego? - William szukał wsparcia u starca i chłopca. - Mamy dość miejsca.

- Tak, proszę pani - rzekł stary. - Nikt pani nie będzie przeszkadzał, już my się o to postaramy.

Uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

- Wiem, Duncanie, i bardzo ci dziękuję. Ale mój dom jest tutaj. Muszę tu zostać, żeby mieć pewność, że ogień całkiem wygasł. Nie mogłabym zasnąć u was, stałabym całą noc przy oknie, wypatrując.

- W takim razie - oświadczył stanowczo William - ja z tobą zostanę.

- Nie ma potrzeby.

- Owszem, jest. Nie zostawię cię teraz. - Odwrócił się do Duncana. - Możecie wracać do domu. Nic tam po mnie. Stałbym jak Molly przy oknie całą noc.

Stary pokiwał głową.

- Prawda. W ten sposób wszyscy będziemy spokojni, że pani jest bezpieczna.

- Bezpieczna. - Molly uśmiechnęła się, głaszcząc psa, który nie opuścił jej ani na moment. - Kiedy usłyszałam Wilka i zobaczyłam Williama w drzwiach, wiedziałam od razu, że nic mi już nie grozi. - Podeszła do starego i ucałowała go w policzek, a potem dała całusa chłopcu. - Dziękuję, uratowaliście mnie.

- A jakżeby? Jest pani dla nas bardzo ważną osobą. Dobrej nocy, pani - rzekł stary.

Objął ramieniem Tylera i wolno ruszyli przez pole. Molly zwróciła się teraz do Williama:

- Usiądź na ławce w ogrodzie, a ja przyniosę ci wody do umycia rąk.

Odeszła tak szybko, że nie zdążył się odezwać. Po krótkiej chwili była z powrotem z miednicą i dzbanem. Uklękła przed nim i zaczęła myć mu ręce.

- Boli cię?

- Nie.

- Tak bardzo się bałam.

- Nie tak jak ja, kiedy zobaczyłem dym.

- Ale jak zobaczyłam cię na progu - uniosła jego dłonie i całowała po kolei palec po palcu - od razu się uspokoiłam.

- Naprawdę? - Wstał i przytulił ją. - Czujesz się przy mnie bezpieczna?

- Oczywiście - przytaknęła.

Odwrócił się, opuściwszy ręce, zdenerwowany.

- Williamie? - Dotknęła lekko jego pleców. - Co robisz?

- Wychodzę, to jedyne honorowe wyjście z tej sytuacji. Za chwilę może być za późno.

- Nie rozumiem.

- Nie? - Rzucił spojrzenie przez ramię. Miał ten sam wyraz oczu co pierwszej nocy, kiedy przez pomyłkę trafił do jej domu i przestraszył ją śmiertelnie. - Zamknij dobrze drzwi, Molly. Tylko wtedy będziesz bezpieczna.

Przez kilka minut tkwiła w ciemności, patrząc za oddalającym się mężczyzną. Nie mogła pojąć nagłej zmiany jego zachowania. Czyżby powiedziała coś nie tak? Przypominała sobie po kolei wszystkie wypowiedziane przez siebie słowa.

Tak, stwierdziła, że czuje się przy nim bezpieczna. To właśnie wywołało tę zaskakującą, niemiłą reakcję. Uprzytamniając to sobie, przypomniała sobie coś jeszcze. William rzekł na odchodnym, że wybiera honorowe wyjście. Dobry Boże! A to dopiero. Zostawił ją samą, żeby nie naruszyć jej czci.

Zasłoniła usta, by nie krzyknąć, i puściła się za nim biegiem. A kiedy go dogoniła, położyła mu rękę na ramieniu i poczuła, że zadrżał.

- Nie odchodź, proszę.

- Muszę. Gdybym został, naraziłbym cię na prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Wiem. - Stanęła z nim twarzą w twarz. - Początkowo nie rozumiałam, ale teraz już rozumiem. Chcę, żebyś został.

Chwycił ją brutalnie za ramię, żeby tylko nie podeszła zbyt blisko.

- Nic nie mogę ci dać, Molly. Zupełnie nic. Rozumiesz? Ojciec mnie wydziedziczył. Rodzina mnie odrzuciła. Majątek i tytuł, które mogły być moje, zostały mi odebrane na zawsze. Wiążąc się ze mną, otrzymasz jedynie niezасłużoną porcję wstydu i poniżenia.

- Nie potrzebuję żadnego tytułu ani bogactw. Ja wybrałam, Williamie. Tu chodzi o mój wybór. Chcę ciebie i tylko ciebie.

Stał nieruchomo, z nadzieją, że Molly przejrzy na oczy i stwierdzi, że robi błąd.

- Nie mogę ci niczego obiecać.

- O nic nie proszę. Zmrużył oczy.

- No to jesteś głupia.

Uniosła brodę w znany mu już sposób.

- Może jestem. Ale chcę, żebyś został ze mną na noc. Żebyś mnie przytulił. I... - zawiesiła na moment głos - żebyś się ze mną kochał. Nawet jeśli skończy się na tej jednej nocy.

Przesunął dłonie wzdłuż jej ramion.

- No to niech Bóg nam dopomoże - szepnął - bo nie potrafię się dłużej opierać. Wiesz, że zachowujemy się jak para głupców? - wyszeptał.

- Tak.

Podniósł ją, była taka lekka. Zaniósł ją do jej domu, w drzwiach jej sypialni przystanął, aby ją pocałować. Błąd, mówił sobie, robię błąd. Ledwo

powstrzymał się, żeby nie zedrzeć z niej ubrania i nie położyć się z nią natychmiast na podłodze.

- Pragnąłem tego od pierwszej chwili, odkąd cię tylko ujrzałem - mówił, pieścąc ją, aż jego dłonie spotkały jej piersi, które jakby tylko na to czekały'.

- Myślałam, że już nigdy żaden mężczyzna nie będzie mnie pragnął. Nawet o tym nie marzyłam. Czułam się niepotrzebna, jak stare potłuczone naczynie.

Potłuczone naczynie. Znał to uczucie doskonale.

- Kochanie - rzekł, czując, że może nagle głębiej swobodniej oddychać, jakby wcześniej płuca i serce opasywała mu ciasna przepaska.

Sięgnął ku rzędowni drobnych guzików przy jej wyblakłej sukni.

- Chciałbym cię rozebrać.

Nie spuszczał z niej wzroku, powoli odpinał guzik po guziku, aż mógł wreszcie opuścić suknię z jej ramion. Suknia opadła na podłogę, rozkładając się pod ich stopami. William rozwiązał halki Molly.

- Jesteś piękniejsza, niż sobie wyobrażałem - zdążył jeszcze powiedzieć i zaraz potem rozpoczął wędrówkę ustami od jej szyi do nabrzmiewających piersi. - Molly, jesteś taka piękna.

Westchnęła tylko, zaskoczona własną niepohamowaną reakcją.

- Zimno ci? - szepnął jej do ucha.

- Nie. Ja... pragnę cię. Nigdy nie pragnęłam tak mężczyzny. Nawet męża.

- Odwróciła wzrok, zawstydzona.

Nic nie mogło mu zrobić większej przyjemności. Włożył palce w jej włosy i przyciągnął ją do siebie.

- Spójrz na mnie, Molly.

Posłuchała go. Miała przed sobą ogień w oczach, które uważała za zimne i cyniczne.

- To przez ciebie, Molly. Przez ciebie. (Sip A43)

Chciała go dotykać, tak jak on ją dotykał. O mało nie podarła mu koszuli. Walczyła z jego ubraniem, aż poległo na podłodze, obok jej sukni.

Stali teraz naprzeciw siebie nadzy, a Molly zdawało się, że za chwilę umrze. William przeniósł ją na łóżko. Całował to delikatnie, to znów agresywnie, jakby toczył ze sobą jakąś wewnętrzną walkę.

Obserwował ją w rozproszonym świetle księżyca, jej skórę i oczy. Kosmyk jej włosów na swoim ramieniu. Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie i jego ówczesne pragnienie, żeby ją dotknąć. Teraz mógł to zrobić, mógł się tym delectować do woli. Oplótł ją rękami, które przesuwając się po niej, tworzyły na jej ciele niewidoczną siateczkę z jego dotknięć, a ustami zanurzył się równocześnie we wrażliwym zagłębieniu na jej szyi.

Molly zacisnęła dłonie. Nie pozwolił jej na długi odpoczynek, a wyraz zdumienia w jej oczach tylko go bardziej podniecił. Zdał sobie sprawę, że nie zaznała dotąd podobnych emocji, i poczuł się dumny, że mógł jej pokazać coś nowego. Był jak pijany, ta kobieta odurzyła go lepiej niż niejeden alkohol. Moja kobieta, pomyślał gwałtownie, to będzie tylko moja kobieta.

Zmagał się z tą myślą, wydłużał moment fizycznego zbliżenia, bo nic więcej nie miał jej do zaoferowania. Ale gdy Molly dotknęła go znów, wiedział, że tak łatwo się jej nie pozbędzie.

Wystarczył jeden jej dotyk.

Nie spieszył się, prowadził ją powoli do chwili, gdy wbiła mu w ramiona paznokcie i owinęła się wokół niego.

Takiej jej pragnął, o takiej marzył. Pozbył się właśnie ostatniej kropli samokontroli i poczuł się oczyszczony.

Szeptał jej imię bez końca, patrząc jej w oczy. Zobaczył w nich wówczas zaufanie i miłość.

I po raz kolejny skoczyli razem z wysokiego brzegu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Leżała nieruchomo. Miała za sobą noc, jakiej dotąd nie przeżyła. Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że tak bardzo zbliżyli się z Wiliamem. Całe to zdarzenie wydawało się raczej pięknym i rzadkim snem, w który trudno uwierzyć. Prawie nie spali, kochali się w nieskończoność, za każdym razem inaczej. Chwilami chciało jej się płakać ze wzruszenia, chwilami wpadała w macki jakiegoś szaleństwa, które oboje ich wciągało w ciemną stronę miłości, która w równej mierze podniecała i przerażała.

Molly ziewnęła, przeciągnęła się i odwróciła się do mężczyzny, który trzymał ją w ramionach przez całą noc.

A raczej odwróciła się w stronę, gdzie powinna go znaleźć. Ale druga połowa łóżka była pusta. Otworzyła szerzej oczy, spodziewając się wobec tego, że William ubiera się obok.

Pokój był pusty.

Ochlapała się wodą z miski, włożyła swoją codzienną, prostą suknię i szybko wyszła z sypialni.

- William?

Rozglądała się po zniszczonym pożarem domu, a nie znalazłszy tam Williama, zdecydowała, że wrócił do siebie. Żeby się przebrać.

Przelotne uczucie zawodu odsunęła czym prędzej na daleki plan. W końcu William ma swoje obowiązki. Czyż nie mówił, że nie może jej niczego obiecać? Mówił. Chyba nie spodziewała się, że z jej powodu William zaniedba pracę?

Rozpaliła ogień i postawiła na piecu poczerńiały czajnik. Potem wyszła przed dom, wdychając poranne powietrze, wciąż pełne zapachu gryzącej spalenizny.

Wyteżyła wzrok i z dreszczem nadziei spojrzała na dom stojący na drugim końcu pola. Czy William wstąpi do niej przed objazdem włości lorda Kenta? Minuty mijały jednak, potem godzina, a może i więcej, aż zdała sobie sprawę, że teraz go nie ujrzy.

Pobiegła do sypialni i stanęła przed małym wyszczerbionym lustrem. Studiowała własne odbicie. Szkoda, że nie jestem ładniejsza, pomyślała z żalem. Próbowała zobaczyć się oczami Williama. Widziała tylko zmarszczki, podkrążone oczy, zbyt wystające kości policzkowe, za szerokie usta. Spuściła wzrok. Jej dłonie wciąż nosiły ślady walki z ogniem. Skóra była poparzona, paznokcie połamane. To nie były ręce damy. To nie były ręce, których pragnąłby mężczyzna na swoim ciele w ciszy nocy. A jej ubranie! Takie sfatygowane! Takie wysłużone! Chciałaby nosić suknie, które szyła dla innych, lecz nie było ją na nie stać. Nauczyła się jednak lata temu, że jeśli się czegoś gorąco pragnie, można to mieć.

Odłożyła lusterko i potrząsnęła głową. I kogo ona oszukuje? Nie porzuciła jednak nadziei, że William zjawi się w jej drzwiach i rozwieje wątpliwości, które zaczynały jej doskwierać.

Nalała sobie filiżankę herbaty i usiadła przy piecu, borykając się z własnymi lękami. Ale ziarno już zostało zasiane. I z każdą minutą wypuszczało pędy.

Odstawiła filiżankę i zabrała się do roboty. Trzeba wysprzątać dom, wynieść zwęglone resztki skromnych sprzętów, zamieść, wymyć podłogę. Miała nadzieję, że ciężka praca zatrzyma jej lęki w bezpiecznej odległości.

Przyklękła w ogrodzie, zbierając warzywa na obiad. Nie usiadła od rana, zaharowując się do utraty tchu, bo kiedy tylko dała sobie chwilę wytchnienia, lęk powracał, łapiąc ją za kostki jak zły pies.

Nagle dobiegł ją jakiś dźwięk. Podniosła wzrok, przerywając pracę. Otarła czoło, zostawiając na nim brudną smugę. Znowu to samo. Stukanie. Ktoś puka do jej drzwi, uprzytomniła sobie.

William! To na pewno on. Chwyciła koszyk i pobiegła ścieżką.

Kiedy obszedłszy dom znalazła się u drzwi, ujrzała mężczyznę, który zaglądał przez okno. Słyszając jej kroki, obrócił się. - Pani Warner?

Poznała go, przerażona.

- Konstabl Eton.

Spojrzał na nią, potem gdzieś w bok, jakby nie mógł jej patrzeć w oczy.

- Przyszedłem poinformować panią, że dług zaciągnięty na pani hipotekę został spłacony.

- Spłacony? Ależ ja... ja jeszcze... - Przerwała, widząc, że gość kręci głową.

- Pieniądze dostał lord Bowers i przysłał mnie tu, żeby panią zawiadomił. I dał pani to. - Podszedł do niej i wręczył jej coś, co wyglądało na dokument prawny, z pieczęcią lorda.

Nogi się pod nią ugięły, zrobiło jej się słabo, zacisnęła palce na rączce koszyka, jakby musiała się czegoś mocno trzymać. Czegokolwiek.

- Czy pan... czy to znaczy, że muszę opuścić dom? Widziała litość w jego oczach i poczuła się jeszcze gorzej.

Konstabl odchrząknął.

- Nie wiem, pani Warner. Musi to pani załatwić z gentlemanem, który kupił pani ziemię.

- A któż to taki? Konstabl wskazał głową.

- Pani sąsiad, pan William Colton. Przełknęła głośno.

- Rozumiem. - Wyciągnęła rękę, żeby oprzeć się o ścianę. - Dziękuję panu.

Konstabl Eton zostawił ją wspartą o ścianę domu. Z jej twarzy odpłynęły wszystkie kolory, w oczach miała pustkę.

Z trudem wczłapała do środka i opadła bezsilnie, zbyt słaba, żeby zrobić choć jeden krok więcej. Początkowo nie mogła zebrać myśli. Potem, czytając dokument, który przekazywał kawałek ziemi należący najpierw do ojca, a później do niej, Williamowi Coltonowi, ulegała stopniowo wszelkim lękom, które krążyły w jej głowie przez cały dzień.

Przecież William od początku dał jej jasno do zrozumienia, że chce dostać ziemię. Dlaczego to zignorowała? Dlaczego nie uwierzyła opinii o

pozbawionym serca nadzorcy lorda Kenta, który dla pomnożenia majątku swojego pracodawcy był gotowy na każde świństwo? William Colton cieszył się złą sławą człowieka przebiegłego i bezwzględного. A zatem, gdy odmówiła mu sprzedaży ziemi, postarał się znaleźć do niej inną drogę. A ona sama mu ją pokazała.

Głupia, ach jaka głupia! Czyż nie obiecała sobie po doświadczeniach z Jaredem, że nigdy więcej nie zaufa mężczyźnie? Zwłaszcza takiemu, który może się podobać? A mimo to wpadła w ramiona Williama i nawet zaprosiła go do własnego łóżka. Po to tylko, jak się okazało, żeby ją oszukał, podobnie jak Jared.

Naiwna, wygłodniała miłości romantyczką!

Wstyd i złość owładnęły nią, a piekące łzy popłynęły gęsto z jej oczu. Ukryła twarz w dłoniach i szlochała tak długo, aż nie zostało jej już więcej łez.

Wówczas rozżalenie zastąpiły nowe, silniejsze emocje. Nieokiełznana wściekłość. Podniosła się, zrobiła niepewny krok, potem drugi. William Colton jeszcze ją popamięta. Niczego mu nie odda, a na pewno nie bez walki.

Uniosła spódnicę i ruszyła przez pole, nad którym właśnie zapadał zmierzch. Doszedłszy do celu, waliła pięścią w drzwi. Z wnętrza dobiegło ją szczekające powitanie Wilka, a zaraz potem pospieszne kroki.

- Molly! - Duncan otworzył jej uradowany. - Wejdz, proszę.

Stała na progu.

- Mam do pomówienia z Williamem.

- Nie wrócił jeszcze z miasta, ale na pewno ucieszy, się na twój widok. - Przyglądał się jej spiętej, nieprzyjaznej twarzy, jego uśmiech przybladł. - Stało się co?

- Owszem. - Spojrzała na Tylera, który stanął u bokudziadka. Nic nie miała do nich dwóch. - Stało się coś... strasznego, Duncanie.

Ujął jej rękę i poprowadził do kominka.

- Zrobię herbaty, a ty mi wszystko powiesz. Pokręciła głową.

- Nie mogę. To sprawa między mną i Coltonem. - Widząc, że stary nalewa wodę do filiżanki, uniosła rękę. -Dziękuję, Duncanie. Nic nie mogłabym wziąć z tego domu. Żadnej uprzejmości.

Chodziła nerwowo, a stary i chłopiec obserwowali ją w milczeniu. Pies leżał przy ogniu, wodząc za nią wzrokiem.

- A ja mu zaufałam - mówiła bardziej do siebie niż do nich. Ściskając w rękę dokument, skrzyżowała ręce na piersi. Z uniesioną brodą czuła, jak z każdym krokiem, z każdym słowem, rośnie jej złość. - Początkowo uznałam go za pijanego drania. I gdybym nie uwierzyła słowom innych, wciąż bym tak myślała. Wtedy nigdy by do tego nie doszło. Był taki arogancki, taki pewny siebie, że wysłał was, żebyście zmierzyli moją ziemię, bez żadnego pozwolenia z mojej strony.

Stary zerknął na drzwi i szybko usiadł przy stole, wyciągając nogi przy ogniu. Chłopiec zrobił to samo. Siedzieli, patrzyli i słuchali.

Molly przystanąła, popatrzyła na psa.

- Ta niespodziewana uprzejmość! Złoto, które miało wynagrodzić mi utratę przędzy. A potem ten motek, w identycznym kolorze, z samiutenkiego Londynu. Wszystko wy-kalkulowane, żeby tylko wkraść się w moje łaski. Och...
- Zamknęła oczy i uniosła twarz, sycząc ze złości. - Jak mogłam być tak zaślepiona?

Zerknęła na gospodarzy.

- Nasłuchałam się waszych opowieści, jaki to on dobry. I w końcu sama w nie uwierzyłam. - Zakręciła się na pięcie i znowu zaczęła wędrować wte i wewte. - Zupełnie zapomniałam o wszystkich obietnicach, które złożyłam sobie i Jaredowi. Pozwoliłam, żeby ten potwór, ta podła namiastka człowieka, zaprosił mnie do oberży i zapłacił za mój posiłek. - Głos jej zadrżał na to wspomnienie. - Wzięłam od niego kwiaty i zaczęłam myśleć o jakimś nowym życiu. O nowej miłości. Uwierzyłam, jak jaka głupia, że mu się podobam. Że on... że mnie

kocha. - Urwała, popatrzyła w ogień, po czym dodała: -Aon tylko wydrwił tę miłość.

- Mam wiele na sumieniu, ale nie to - usłyszała niski, znany jej głos. - Nigdy bym z ciebie nie drwił, Molly.

Stał w drzwiach. Nie wiedziała, jak długo. Ile słyszał? Z wyrazu jego twarzy wynikało, że wszystko. No i dobrze. Nie będzie musiała się powtarzać. Nie mogłaby zresztą. Wściekłość gdzieś sobie poszła. Opuściły ją też słowa.

- To jak to wytłumaczysz? - Pokazała zgnieciony dokument, wymachując nim w powietrzu.

- Wybacz, Molly. Miałem nadzieję, że dotrę do domu pierwszy i sam ci o tym powiem. Zatrzymano mnie.

- Nie przejmuj się. - Jej ton pełen był żalu nad sobą. - Konstabl był bardzo uprzejmy. Powiedział mi, że nie jestem już właścicielką ziemi mojego ojca. - Jej głos rósł do hysterii. - Że moja ziemia nie jest już moja. I że jeśli chcę na niej dalej mieszkać, muszę się ułożyć z nowym właścicielem, Williamem Coltonem.

Na te słowa Duncan zerwał się na nogi i podniósł pięść, jakby miał stanąć w obronie wdowy.

William uspokoił go gestem i zaczął mówić:

- To prawda, spłaciłem twój dług. Ale nie z powodu, o jakim myślisz.

- To znaczy, że nie chcesz mojej ziemi? Potrzęsnał głową i sięgnął do kieszeni.

- To kopia umowy, podpisana przez lorda Bowersa. Jest twoja, Molly, możesz z nią zrobić, co zechcesz.

- Ty... - Patrzyła na zwinięty w rulon papier, po czym podniosła głowę. - Ty spłaciłeś mój dług? I nie zabierzesz mi ziemi?

- Nie. Jest tak jak mówisz, to twoja ziemia, wolna od długów.

- Ale czemu?

- Dziś rano, kiedy się obudziłem, coś sobie uprzytomniłem. Coś, czego unikałem dotąd, bo... - odchrząknął - bo nie byłem gotowy, żeby się z tym

pogodzić. Teraz nie mam wyjścia. Nie chcę twojej ziemi, Molly. Pragnę ciebie. Teraz i zawsze. Żebyś była częścią mojego życia.

Nie mogła jakoś ogarnąć jego słów. I choć jej złość ulotniła się równie szybko, co poranna mgła w słońcu, jej umysł odmawiał współpracy.

- Chcesz mnie?

- Żebyś została moją żoną, jeśli oczywiście się zgodzisz. Niespodzianie zrobiło jej się lekko na sercu. Podniosła

ręce, łagodnie zakreśliło jej się w głowie.

- To wszystko za szybko. Przyszłam tu wściekła, nienawidząc cię.

- Nie szkodzi, Molly, nienawidziłem sam siebie całe lata. Teraz mam w sercu miłość.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz tak. Powiedz, że za mnie wyjdiesz, Molly. O mało się nie udusiła, tak mocno zacisnęło jej się gardło.

Z trudem przełknęła, kiwnęła głową, bo nie odważyła się odezwać.

- O chwała Bogu. Tak się bałem... - Wziął ją w ramiona i wycisnął pocałunek na jej skroni. - Nie zasługuję na ciebie. Moja własna rodzina się mnie wyrzekła. Odczujesz to jako moja żona. Ale jeśli będziesz mnie kochać, zrobię, co w mojej mocy, żebyś była szczęśliwa.

- Już to zrobiłeś.

Po drugiej stronie pokoju starzec i chłopiec patrzyli na to wszystko w radosnym zdumieniu.

- Szybko się pobierzecie?! - zawołał Tyler. William spojrzał na trzymaną w objęciach kobietę, którejoczy błyszczały z radości.

- Tak, chłopcze. Tak szybko, jak to możliwe. - Podniósł Molly i ruszył ku drzwiom. - Pójdziemy teraz do Molly i wszystko zaplanujemy.

Tyler patrzył za nimi.

- Możemy wam z Wilkiem pomóc w tych planach. William zatrzymał się i mrugnął.

- Nie, chłopcze. Musisz tu zostać. Obawiam się, że to nam zajmie całą noc... to planowanie.

- Ale ja...

- Nie teraz. - Stary z uśmiechem położył dłoń na ramieniu chłopca.

W połowie drogi William przystanął, żeby pocałować Molly. Modlił się tylko, żeby dotrzeć do jej domu bez kolejnych przystanków.

- Kocham cię, Molly.

- Ja też cię kocham. Chociaż byłam już pewna, że straciłam serce dla drania i łobuza.

- Wiem. - Zaśmiał się. - Gdybym nawet nie odkrył wcześniej, jak bardzo cię kocham, z pewnością stałoby się to, kiedy oglądałem ten pokaz fajerwerków. Wyglądałaś po prostu fantastycznie. - Pocałował ją znowu, i ledwo już się włókł. - Przypominaj mi zawsze, żebym stał po twojej stronie. Wolałbym nie mierzyć się z twoją złością.

Zarzuciła mu ręce na szyję i całowała tak zapalczywie, że omal nie padł na kolana.

Kilka ostatnich kroków do jej domu było chyba najdłuższymi krokami w jego życiu. Pocieszał się tylko, że mają przed sobą kawał życia. Żeby się całować. Żeby się kochać. Żeby marzyć razem z Molly. Bo tylko przy niej spełniały się jego marzenia.

EPILOG

- Pospiesz się no lepiej. - Duncan stał w nawie kościoła, podziwiając swojego młodego przyjaciela w nowym ubraniu, które uszyła dla niego Molly. - Już dzwonią, już czas, Williamie.

- Pastor poczeka parę minut. - William wziął bukiet polnych kwiatów, które zbierał tego ranka, i zaciągnął się ich zapachem. Potem udał się do małego pomieszczenia, w którym czekała Molly.

Duncan i Tyler zostali kilka kroków w tyle. William zapukał. Kiedy Molly otworzyła drzwi, wszyscy trzej wstrzymali oddech.

Molly zaczerwieniła się mimo woli.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę - oznajmiła. Okręciła się, a dół jej zwiewnej, a równocześnie okazałej sukni opłynął jej kostki.

Biały materiał był najprzedniejszego gatunku, a Molly przeszła samą siebie jako krawcowa. Jej suknia miała niewielki okrągły dekolt i długie, zwężające się u dołu rękawy, ozdobione koronką, która trzepotała wokół jej nadgarstków. Obfita spódnica była zebrana w kilku miejscach, odkrywając koronkową halkę. Molly rozpuściła włosy, tak jak podobało się Williamowi, ozdobiła je tylko polnymi kwiatami.

William chwycił ją za ręce.

- Wyglądasz nieziemsko! Jestem oczarowany.

- Cieszę się. - Popatrzyła na niego z uznaniem. - Muszę przyznać, że ty też robisz wrażenie.

- Dzięki mojej zdolnej narzeczonej będę zawsze dobrze ubrany.

- To wspaniała niespodzianka, że mogłam przyjechać do kościoła w powozie lorda Kenta.

William zajrzał do kieszeni na piersi.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko jeszcze jednej niespodziance.

Wyciągnął zawiniątko z aksamitnej materii. Gdy je rozwinął, Molly zobaczyła naszyjnik z szafirów i brylantów oprawionych w złoto. Bez słowa William zapiął go na szyi narzeczonej. W jednej chwili kamienie zaśniły obudzoną nagle wewnętrznym ogniem. Ogrzane ciepłem jej ciała, zabarwiły tym wielokolorowym blaskiem ściany świątyni.

Molly dotknęła naszyjnika i poczuła, że jest gorący.

- Nie rozumiem. Skąd masz tak piękną rzecz, Williamie?

- Tak, przyjacielu. - Zdumienie Duncana było równie wielkie. - Coś takiego warte jest pewnie królewskiego okupu.

William uniósł rękę, prosząc o ciszę.

- To jedyna rzecz, jaka mi pozostała z rodzinnego majątku. Ten naszyjnik znajdował się w rodzinie Coltonów od czasu, gdy królowa Elżbieta dała go pierwszemu lordowi Redbridge. Wierzymy, że te kamienie mają ukryta moc. Widzicie, jak błyszczą na szyi Molly?

Pokiwali głowami.

- Pięć lat temu miałem poślubić pewną młodą kobietę, Katherine Mansfield, której rodzina dodałaby swój spory majątek i prestiż do majątku i pozycji mojej rodziny. Pogodziłem się z tym ślubem, choć nie kochałem tej dziewczyny. Ale w wigilię ślubu, kiedy chciałem jej podarować naszyjnik, zamek nie chciał się zapiąć, a kamienie na jej skórze pociemniały. Wiedziałem, że to zły znak, że nie powinniśmy się pobierać. Odwołałem ślub. Ojciec wydziedziczył mnie i powiedział, że dla niego jestem od tej pory martwy.

- Williamie...

William dotknął ust Molly koniuszkami palców.

- Nie użalaj się nade mną, Molly. To jedyna pamiątka po moim dawnym życiu, ale za to kamienie powiedziały mi, że miałem rację, czekając na ciebie.

Teraz rozumiała ból, który często widziała w jego oczach.

- Mój ojciec powiedział mi, kiedy wróciłam do domu samotna, bez grosza przy duszy, że każdy krok w naszym życiu zbliża nas do nagrody, która na nas czeka. Cokolwiek by to było. Pomyśl o tym. Gdybyś nie musiał znieść poniżenia, nie spotkalibyśmy się i nie pobrali. Syn wielkiego pana nie mógłby pokochać osoby o tak skromnym pochodzeniu.

Podnieśli oboje wzrok. Pastor stał przy ołtarzu i czekał na nich.

- Jesteś gotowa rozpocząć nowe życie?

Molly uśmiechnęła się, kładąc dłoń na rękę Williama. Podeszli razem do ołtarza, a ich świadkami byli Duncan i Tyler.

Kiedy wypowiedzieli ostatnie słowa małżeńskiej przysięgi, usłyszeli za sobą, gdzieś z tyłu nawy, jakiś ruch. A kiedy się odwrócili, ujrzeli przystojnego mężczyznę o siwych włosach w towarzystwie eleganckiej kobiety. Para ta zbliżała się ku nim.

- Ojcze? Mamo? Nie rozumiem. - William nie wierzył własnym oczom. - Skąd się wzięliście?

- A zatem to prawda. - Ojciec Williama pomógł żonie przejść, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, jakim stał się jego syn. - Twoja matka i ja usłyszeliśmy o twoim ślubie.

Przystanęli ledwie kilka kroków od młodej pary. William objął Molly.

- Już po ślubie. To moja żona, Molly. Stary mężczyzna wyciągnął do niej rękę.

- A więc to pani jesteś wreszcie narzeczoną wartą nazwiska Coltonów. - Przeniósł wzrok na lśniące na szyi Molly kamienie. - Pasuje ci naszyjnik Coltonów, moja droga. Widzę, że mój syn dokonał słusznego wyboru. - Odwrócił się do Williama. - Nie miałem prawa zmuszać cię do ślubu. Teraz wiem, że postąpiłeś wówczas nie tylko słusznie, ale też szlachetnie. Chciałeś trwać przy tradycji Coltonów, nawet jeśli oznaczało to publiczne poniżenie. Żałuję, że straciłem tyle lat. Mam tylko nadzieję, że wybaczysz staremu głupcowi i przyjmiesz moje przeprosiny. Twoja matka i ja nie zazналиśmy chwili spokoju od tamtej strasznej nocy, kiedy kazałem ci odejść. Co więcej, kiedy z oddalenia przyglądałem się, jak zajmujesz się włościami lorda Kenta, moje własne, bez twojej pomocy, podupadły.

William ujrział łzy w oczach matki, słyszał załamujący się głos ojca. Tych dwoje starych ludzi zapłaciło większą niż on cenę z powodu rozstania, pomyślał. On dojrzywał, oni się starzeli. On odkrywał w sobie nowe możliwości, a jego ojciec odkrywał swoje słabości. Dotknął ramienia ojca.

- Długo czekałem na ten dzień. Przez wiele bezsennych nocy wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Potem, po latach, straciłem nadzieję, że

kiedykolwiek się do mnie odezwiesz. Nie wiesz, ile dla mnie znaczy, że odzyskałem twoją miłość i szacunek, ojcze.

- Zamieszkasz u nas ze swoją żoną? - W oczach ojca była nadzieja. - Będziesz dziedzicem tytułu i majątku, jak się należy.

William odezwał się łagodnie:

- Nie jestem już tym samym Williamem, który was opuścił.

Ojciec cofnął się, przyglądając się synowi.

- Nie rozumiem. Co masz na myśli?

- To, co powiedziałem. Cieszę się, że mi to zaproponowałeś, ojcze, ale mamy z Molly wspólne marzenia. Chcemy rozpocząć nowe życie na nowej ziemi. Tam, gdzie człowieka sędzi się wedle jego serca, nie zaś tytułu i majątku. Gdzie każdy może osiągnąć sukces dzięki swojej pracy, a nie swojemu nazwisku czy krojowi ubrania.

- Odwrócisz się od rodziny, żeby wybrać jakąś... ryzykowną przygodę?

William pokręcił głową.

- Zawsze będę dumny, że jestem synem lorda Redbrid-ge'a. Ale jeśli chodzi o tytuł i majątek, uważam, że powinny przypaść mojemu bratu. Polubiłem, jak nazywają mnie po prostu pan Colton. - Odwrócił się do nowo poślubionej żony. - Czy nadal chcesz jechać do Nowego Świata?

Molly popatrzyła na niego zaskoczona.

- A zabierzemy Duncana i Tylera? - Spojrzała na starego i chłopca.

- Tak, są naszą rodziną. Ale nie będziemy ich do tego zmuszać. - Zerknął na nich. - I co wy na to?

Oczy starego błyszcząły.

- Słyszałem wielkie rzeczy o tej Ameryce. - Szturchnął chłopca. - Chciałbyś przeżyć tę przygodę, chłopcze?

- Pewno. A prędko pojedziemy?

William ujrzał na twarzach rodziców zmieszanie i rozczarowanie.

- Niedługo. Najpierw chciałbym wrócić do rodzinnego domu, bo długo na to czekałem. Obejrzę posiadłość ojca. Zrobię wszystko, żeby przywrócić jej świetność i zdobyć na nowo miłość rodziny, choćby miało to zabrać jakiś czas. - William ujął dłonie Molly i spojrzał w jej oczy. - Nie minęła godzina od naszego ślubu, a okazało się, że poślubiłaś utytułowanego gentlemana. Czy zechcesz zamienić to na marzenie?

Molly pogłaskała go po policzku tak czule, że od razu zrozumiał.

- Jeśli tylko będzie to nasze wspólne marzenie, nic nie ryzykujemy - powiedziała.

Przytulił ją, zadziwiony siłą uczuć, jakie miał dla tej drobnej istoty. Niegdyś tęsknił wyłącznie do dawnego stylu życia, teraz miłość i śmiech okazały się dużo cenniejszymi wartościami. Z Molly u boku wierzył, że osiągnie wszystko, czego mu trzeba.

Ruszyli w dół nawy, ręka w rękę, z rodzicami z obu stron i przyjaciółmi kroczącymi pogodnie z tyłu.

Jakiż przedziwny zakręt losu zebrał nas razem w tym miejscu, pomyślał William. Każde z nich straciło w pewnym momencie swego życia to, co było wówczas dla niego najcenniejsze. I oto spotkali się, pełni nowej miłości i nadziei, którą łączyli z nową nie znaną im ziemią.

William nie miał jednak wątpliwości, że cokolwiek jeszcze go spotka, nie będzie się równało z Molly. Ona jest najważniejsza.

KONIEC